

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV.
Nowowiejska 83 (dom własny) **Telefon Nr. 479.**

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.
Prenumeratę przyjmuje Biuro UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Rok IX. Kraków, 25 maja 1912. Nr. 21.

Ronikier na wolności.

(Treść na str. 2)



Ronikier na wolności.

(Do illustracyi tytułowej).

Dzieją się w życiu rzeczy, o których nie śniło się nawet... powieściopisarzom. Taką, bardziej sensacyjną od najsensacyjniejszej powieści rzeczywistością była sprawa hr. Ronikiera... Hrabia literat oskarżony o wciągnięcie do zasadzki i zamordowanie swego szwagra. Straszna, okropna tragedya rodzinna, w której ojciec ofiary i żony mordercy występuje w roli oskarżyciela, bez ogródek wskazują na Ronikiera jako sprawcę mordu.

Zaczyna się śledztwo i proces. Oskarżony o morderstwo Ronikier przeistacza się na „ojca Teodora" i podczas pierwszej rozprawy w sądzie okręgowym jest tylko biernym widzem. Oskarżają go o najstraszniejszy czyn, a on milczy, jak zaklęty — modląc się i przebierając paciorki różańca...

Wyrok tej instancyi, skazujący Ronikiera na 15 lat katorgi, dokonał w sprawie sensacyjnego zwrotu: niemy dotychczas „o. Teodor" znowu przeistoczył się na Ronikiera, który przemówił ze swadą doskonałego adwokata, a jego obrońca Bobriszczew-Puszkin bez ceremonii przyznał, że obłęd religijny Ronikiera podczas tej rozprawy był symulacyą...

Słowem same sensacyjne niespodzianki, które też w wielkiem naprężeniu trzymały opinię publiczną podczas rozprawy w Izbie sądowej...

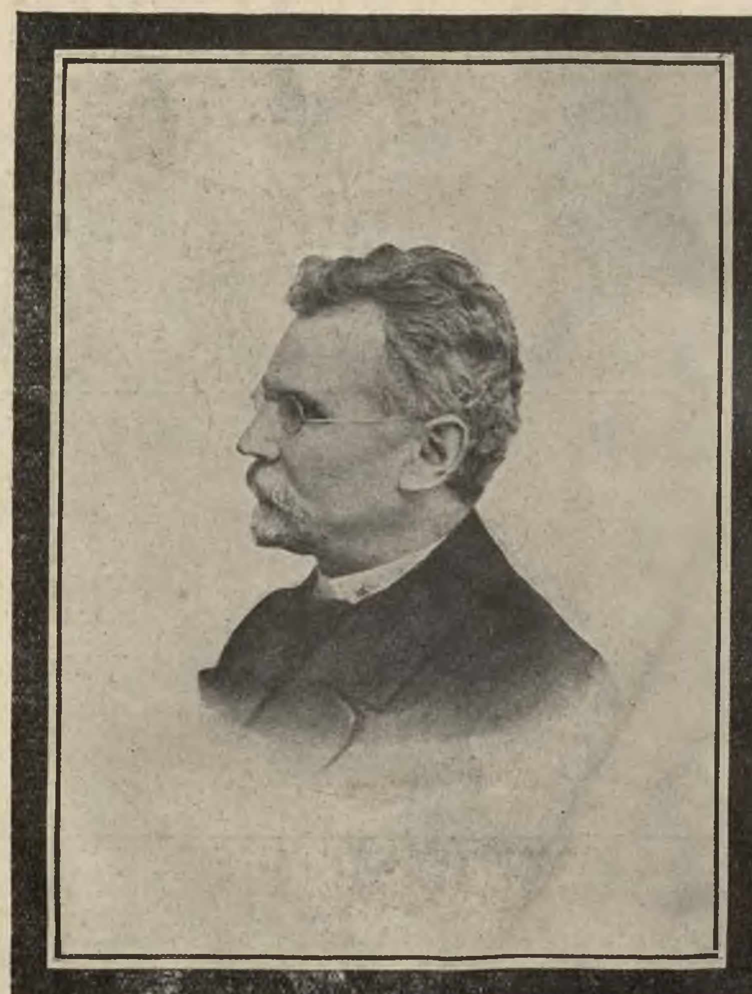
Tłumy publiczności z rosnącem zaciekawieniem przysłuchiwały się tej ostatniej walce na śmierć i życie, jaką toczył oskarżony z oskarżycielami. Hr. Ronikier zdobył jednak sukces wśród histeryczek, które gotowe były uwieńczyć go kwiatami, gdyby przezorność władz sądowych temu nie przeszkodziła...

Ale jak wszystko w tej tragicznej sprawie, tak i rozprawa w Izbie sądowej skończyła się niespodzianką: Ronikier został skazany za zadanie śmiertelnych ran w uniesieniu (bez zamiaru zabójstwa) na $1^1/_2$ roku rot aresztanckich, i dziś buja już na wolności, na razie za kaucyą 3000 rubli...

Ten niespodziewany epilog procesu — wyjście Ronikiera z murów więziennych — przedstawia nasza tytułowa illustracya.

Bolesna strata.

Umarł jeden z tych, którzy dla narodu nigdy nie umierają.. W Warszawie rozstał się z tym światem ś. p. Aleksander Głowacki (Bolesław Prus). Znakomity powieściopisarz i beletrysta, głęboki myśliciel i publicysta, o trzeźwym realnym rozumie i gorącem, czułem na niedolę ludzką sercu — Prus pozostawił w polskiej literaturze i w dziejach polskiej kultury chlubną, a przytem zupełnie osobną kartę. Był to pisarz na wskróś indywidualny o niezwykle szerokim zakresie twórczym. Niezrównany



Bolesna strata: Ś. p. Aleksander Głowacki (Bolesław Prus)

humorysta i surowy moralizator, apostoł trzeźwego rozumu i realnej pozytywnej pracy u podstaw — a jednocześnie marzyciel altruista, głęboko odczuwający cierpienia maluczkich i ból wszechludzki...

W utworach Prusa te pierwiastki trzeźwego rozumu i gorącego, szlachetnego serca zlewały się w harmonijną całość, nadając jego dziełom, stanowczo zbyt mało cenionym i popularyzowanym, specyalną wartość artystyczną i społeczną.

Czy to w najdrobniejszych utworach Prusa, jak szkicach, obrazkach i „drobiazgach", czy też w utworach powieściowych, jak „Placówka", „Lalka", „Emancypantki", „Faraon", przewija się zawsze głębsza myśl filozoficzno społeczna i szlachetna tendencya, ubrana w szatę doskonałej obserwacyi, niezrównanego humoru, potężnego uczucia i skończonej formy artystycznej.

Prus nie był zwolennikiem zasady „sztuka dla sztuki". On tworzył przedewszystkiem dla ludzi, dla własnego społeczeństwa, które miłował gorącem sercem patryoty, a pomimo to, a może właśnie dlatego tworzył dzieła, które na zawsze pozostaną klejnotami literatury polskiej...

Twórczość Prusa, którego zgon odbija się dziś smutnem echem po całej Polsce, jest właśnie najlepszym dowodem, że myśl utylitarna, lecz owiana gorącą miłością altruizmu, nie tylko nie zabija sztuki, ale nadaje dziełom jej nieprzemijającą wartość i prawdziwą siłę twórczą — siłę przemawiania do dusz ludzkich...

Taki pisarz, gorąco miłujący kraj i pragnący służyć mu każdem poświęceniem swego pióra, zeszedł do grobu wraz z Prusem. Żegna go też z żalem cały naród, ale nie rozstanie się z nim po zgonie, bo umarł jeden z tych, którzy dla narodu nigdy nie umierają, pozostawiając mu w spuściźnie swe wiecznie żywe skarby ducha.

Zmiana tronu w Danii.

Dania, mały kraj, leżący na północy Niemiec, przeżywa w ostatnich dniach poważne wewnętrzne przesilenie. Nagły zgon króla duńskiego Chrystyana Fryderyka VIII-go w Hamburgu, osierocił tron Danii. Stało się to w chwili, kiedy kraj szarpią znowu polityczne niesnaski.

Król Fryderyk VIII bawił w Hamburgu w przejeździe. Wieczorem wyszedł z hotelu na spacer, lecz na ulicy nagle zasłabł. Przechodnie, nie znający króla, przewieźli go do szpitala. Król zmarł jednak w drodze, wobec czego zwłoki złożono w trupiarni.

Otoczenie króla, zaniepokojone faktem, iż król z przechadzki zbył długo nie wraca, rozpoczęło poszukiwania po mieście i wtedy dopiero dowiedziano się, że mężczyzna, zmarły w drodze do szpitala, jest królem duńskim.

Król Fryderyk VIII urodził się w 1843 r. jako najstarszy syn króla Chrystyana IX. Ukończył studya prawnicze w Oxfordzie.

Tron po ojcu objął w r. 1906. Rządy jego pełne były wewnętrznych przesileń, które w części spowodował fakt, iż członek gabinetu, minister Alberti sprzeniewierzył 15 milionów koron. Ten gabinet król popierał, to też afera ta wywołała rozgoryczenie i przeciw królowi. Kiedy po szeregu wewnętrznych walk do steru władzy doszli radykali, popierani przez socyalistów, prezesem gabinetu został adwokat Zahle, który zniósł tytuły i ordery i rozpoczął rządy w duchu radykalno liberalnym. Rządy te doprowadziły jednak do obalenia gabinetu i rozwiązania parlamentu, a w r. 1910 do steru przyszły stronnictwa umiarkowane.

Od r. 1908 do 1910 dwukrotnie parlament Danii był rozwiązywany, a cztery gabinety upadły.

Król Fryderyk VIII zwany był „szwagrem Europy", gdyż był ojcem króla norweskiego Hakona, bratem króla greckiego, rosyjskiej cesarzowej-wdowy i królowej wdowy angielskiej. Ożeniony był z ks. Ludwiką szwedzką, z którą miał siedmioro dzieci.

Najstarszy syn zmarłego króla jako Chrystyan X objął obecnie tron po ojcu. Urodzony jest w r. 1870. W r. 1898 ożenił się z ks. Aleksandryną Meklenburską, z którą ma dwóch synów.

Zmarły król ceniony był bardzo jako dziennikarz. Pisywał też często do gazet duńskich, a podró-



Zmiana tronu w Danii: Nowy król duński Chrystyan X.



Zmiana tronu w Danii: Zmarły król duński Chrystyan Fryderyk VIII.

żując po całej Europie, posiadał rozległe wiadomości.

Illustracye nasze przedstawiają podobizny zmarłego monarchy i jego następcy.

Z życia polskiej wsi.

Włościanie nasi mimo ciężkiej pracy na ojczystym zagonie, garną się chętnie do oświaty i działalności społecznej. Dzięki odczytom, pracy kółek rolniczych i Tow. oświatowych, coraz mniej jest wsi w Galicyi, gdzieby nie było czytelni ludowej lub wypożyczalni książek, z których lud nasz coraz gorliwiej korzysta. Jest to objaw niezmiernie pocieszający, który świadczy, że wieś polska, poza troską o chleb powszechdni, coraz żywszy bierze udział w ogólnym życiu narodowem. Sympatycznym wyrazem takiego intelektualnego życia wsi polskiej były uroczystości we wsi Palczowice pod Oświęcimiem, gdzie w tych dniach dokonano poświęcenia sztandaru „Czytelni ludowej“, która istnieje w wiosce od przeszłego roku. Poświęcenia dopełnił ks. Baniewski. Po nabożeństwie utworzył się pochód z banderyi właścian miejscowych i z sąsiednich Smolic i Podolsza, z dziatwy szkolnej z całej parafii, straży pożarnej z Podolsza, „Sokoła“ z Zatora i licznej rzeszy ludu miejscowego i okolicznego, jakoteż inteligencyi z Zatora. Pochód ruszył do końca grunwaldzkiego, który usypano we wsi w r. 1910. Inicyatywę do jego usypania dali miejscowi rolnicy



Z życia polskiej wsi: Członkowie Czytelni ludowej w Palczowicach, pod Oświęcimem, zgromadzeni na uroczystości poświęcenia sztandaru.



Z życia polskiej wsi: Grupa uczestników pochodu na kopiec grunwaldzki w Palczowicach: straż pożarna z Podolsza, „Sokół“ z Zatora i banderya.

Tadeusz Gołda i Jan Nowotarski. Na kopcu osadzono kamień, na którym wyryto słowa: „Pamiątka Grunwaldu 1410—1910 Palczowice“.

Cdy pochód przybył na miejsce, nastąpiła druga uroczystość — poświęcenie kopca. Uroczystego aktu dopełnił ks. Baniewski, poczem z kopca przemówili pp: Molenda, dr. Grzybowski, Stanek, Łaszczyński, ks. Krajewski...

Podniosłą uroczystość zakończył spiew chóru Czytelni.

Illustracye nasze przedstawiają członków Czytelni z nowym sztandarem, i grupę uczestników pochodu na kopiec grunwaldzki.

Towarzystwo dramatyczne imienia Al. Fredry w Przemyślu.

Nie potrzeba szeroko rozwodzić się, jak ważną misyę kulturalną spełnia dobrze prowadzony teatr. Mniejsze miasta nie mogą jednak pozwolić sobie na utrzymywanie stałej sceny, jako zbyt kosztownej, lecz w braku stałego teatru — otwiera się tam szerokie i bardzo owocne pole pracy scenicznej drużyn amatorskich. Utrzymanie takiej amatorskiej sceny na poziomie, któryby grającym dawał moralne zadowolenie, a szerszym kołom słuchaczów artystyczną rozrywkę, wymaga wszakże wielu wysiłków, a przedewszystkiem organizacyi, któraby potrafiła skupić rozproszone jednostki i natchnąć je zamiłowaniem do pracy scenicznej... Jednem z prowincyonalnych miast, które posiada doskonałą pod tym względem organizacyę, jest Przemyśl. Istniejące tam od półtora roku Tow. dramatyczne im. Aleksandra Fredry zdołało już pozyskać sobie tak żywe uznanie i sympatyę u publiczności, że przedstawienia tego Towarzystwa, powtarzane po kilka razy z rzędu, wypełniają stale dużą salę „Sokoła“ do ostatniego miejsca.

Towarzystwo powstało z inicyatywy grona osób, rozumiejących prawdziwy cel teatru amatorskiego, prowadzonego artystycznie i z prawdziwem zamiłowaniem do sztuki. Do wspólnej pracy stanęli też ludzie różnych zawodów i „rang“, ożywieni jednym szlachetnym celem stworzenia i utrzymania na wysokim poziomie kulturalnej placówki w dużem mieście prowincyonalnem, pozbawionem stałego teatru. Ster Towarzystwa dzierżą radca sąd. p. Brzeziński jako prezes i insp. kolej. p. Jung jako wiceprezes. Reżyseryę sprawuje p. Lorenz przy pomocy pp. prof. Umańskiego, dra Kropińskiego i inż. Nazarewicza, za pultem dyrygenta zasiada prof. dr. Pilecki. Administracya spoczywa w doświadczonych rękach pp. Toegla, Migacza, komis. Skarzyńskiego, radcy Grzędzielskiego, Swobody, Witkowskiego i Horzicy.

W roku ubiegłym wystawiono z pietyzmem „Sluby panieńskie“, „Zemstę“ i „Dożywocie“ Fredry ojca, który jest „patronem“ Towarzystwa, „Snieg“ Przybyszewskiego, „Na zawsze“ Rydla, „Braci Lerche“ Asnyka, „Klub kawalerów“ Bałuckiego, „Żołnierza królowej Madagaskaru“ Dobrzańskiego itd., a świeżo



Tow. dramatyczne im. Al. Fredry w Przemyślu: Członkowie drużyny amatorskiej, biorący udział w przedstawieniu „Wesela“.
(Fot. M Todt, Przemyśl).

grano 3 razy z rzędu „Wesele“ Wyspiańskiego, z którego fotografię zamieszczamy w niniejszym numerze.

Młodemu i ruchliwemu Towarzystwu należy życzyć, by po wytkniętej drodze szło z niesłabnącym zapałem, kształcąc umysły i serca i wypierając prowincyonalną apatyę i przesądy.



Misye ludowe w zagłębiu naftowem w Galicyi: J. E. ks. biskup Pelczar udziela błogosławieństwa zebranej ludności w Drohobyczu. (Fot. B. Libermann, Drohobycz).

Misye ludowe w zagłębiu naftowem w Galicyi.

Kościół katolicki wprowadził zwyczaj, że w poszczególnych parafiach co kilka lat odbywają się powszechne misye ludowe. Stanowią one rodzaj wielkiego święta parafialnego, które upamiętnia się zwykle postawieniem pamiątkowego krzyża misyjnego. Przed kilkunastu dniami odbyły się takie misye w Drohobyczu i Borysławiu. Udział ludu i robotników w naukach i w przystępowaniu do św. Sakramentów był olbrzymi, gdyż przenoszący 8000 osób, przeważnie mężczyzn. Misye trwały osiem dni, a prowadzili je OO. Redemptoryści. Na zakończenie uroczystości przybył z Przemyśla J. E. ks. biskup Pelczar i odprawił trzydniową wizytacyę pasterską, przyjmowany bardzo serdecznie przez ludność.

Ks. Biskup zwiedzał w czasie wizytacyi szkoły miejscowe, szpitale i instytucye społeczne.

Na pożegnanie przedstawiciele władz i młodzież szkół miejscowych zgotowali ks. biskupowi Pelczarowi serdeczną owacyę.

Szkoła drukarska w Krakowie.

Brak szkół fachowych dla poszczególnych zawodów daie się u nas jeszcze silnie odczuwać. W części zastępują je uzupełniające szkoły zawodowe, które powstają przeważnie dzięki inicyatywie prywatnej, a pracują i rozwijają się przy pomocy władz autonomicznych i instytucyi publicznych.

Zawód drukarski nie posiada w Galicyi specyalnej szkoły. Dzięki inicyatywie radcy cesarskiego W. Anczyca, przewodniczącego grupy krakowskiej Związku drukarzy, powstała przed kilku laty w Krakowie uzupełniająca szkoła zawodowa dla uczniów drukarskich, która choć w części zastępuje szkołę fachową, a zadanie swoje spełnia doskonale.

Nauka w tej szkole odbywa się popołudniu, a uczniowie zwalniani są z zajęć w drukarniach, aby ze świeżym umysłem mogli w szkole pracować. Dzięki pomocy gminy m. Krakowa, Izby handlowej i przemysłowej, oraz opiece gremium drukarzy, a przedewszystkiem ofiarności radcy W. Anczyca, szkoła prowadzona jest wzorowo. Uczniowie otrzymują w szkole wszystkie przybory do nauki zupełnie bezpłatnie. Wykłady dzielą się na ogólne i fachowe. Ogólne prowadzili w bieżącym roku szkolnym dyr. Dreziński oraz nauczyciele pp. Orczykowski, dr. Kanarek i Krukowski. Fachowe wykłady mieli p. Anczyc i Zemanek, zarządca drukarni Rippera.

W roku szkolnym, który przed kilku dniami uroczyście się zakończył, uczęszczało na pierwszy kurs 35 uczniów, na drugi 24. Z tych kilku odznaczyło się pilnością i energią w pracy, za co też zostali odpowiednio wynagrodzeni, otrzymując z rąk p. Anczyca nagrody w formie książeczek Kasy Oszczędności.

Uroczystość poprzedziło nabożeństwo w kościele OO. Kapucynów. Następnie w pięknie przybranej sali szkolnej zebrali się wszyscy właściciele i dyrektorzy drukarń krakowskich oraz zaproszeni goście. Pierwszy przemówił dyr. Dreziński, podnosząc z uznaniem chętną pomoc, z jaką szkole spieszyło gremium drukarzy, a przedewszystkiem radca W. Anczyc. Następnie odczytano klasyfikacyę uczniów, poczem p. Anczyc wręczył najlepszym uczniom nagrody i przemówił do nich w serdecznych słowach, zachęcając ich do wytrwałej pracy na pożytek społeczeństwa.

Przemawiał jeszcze jeden z uczniów, dziękując za udzielaną im opiekę, poczem uczestnicy uroczystości zwiedzili bardzo bogatą i ciekawą wystawę prac uczniów.

Uroczystość zakończyła się wspólną fotografią, którą w naszem piśmie podajemy.



Szkoła drukarska w Krakowie: Uczniowie szkoły drukarskiej wraz z gośćmi obecnymi na uroczystości zakończenia kursu. W środku siedzi założyciel i protektor szkoły, p. radca Anczyc (X).

Królewiacy

przez

Artura Gruszeckiego.

18)

Radczyni, słuchając tej rozmowy, bacznie śledziła wyraz twarzy Mitkowskiej, czy i ona zrozumiała złośliwość doktora. Nie mogła jednak nic wymiarkować i rzuciwszy gniewne spojrzenie na Lenckiego, poprowadziła gości do stołu. Starsi panowie przerwali grę i przyszli również, rozmawiając z wielkiem ożywieniem o przebiegu ostatniej rozgrywki.

I złożyło się tak dziwnie przy wyborze miejsc u stołu, że Klimcia znalazła się pomiędzy Maryewskim i doktorem, zaś Irenie wypadło usiąść pomiędzy radcą Derkowskim, a chrypiącym sekretarzem Mitkowskim. Władysław zabawiał pannę Aurelię, a Roman siedział obok Maniusi Derkowskiej.

Kolacya, mimo usiłowań radczyni, odbywała się w nastroju ceremonialnym, poważnym. Wreszcie Klimcia, chcąc ożywić towarzystwo, rzekła do doktora z uśmiechem przyjemnym:

— Budzę pana!

— Nie budź pani licha, niech śpi.

— Ależ pan powinien odpowiedzieć: w kolorze? — śmiała się.

— Dobrze, więc w kolorze szarym, jednostajnym, ckliwym, no i nudnym!

Mówił to wśród ogólnej ciszy i nagle Maniusia zawołała ze śmiechem:

— Ja już wiem!

Zaczęto ją prosić, aby powiedziała, wreszcie na żądanie matki zmieszana bąknęła:

— To kolacya.

Zmieszana matka i goście, ukrywając złośliwe uśmiechy, zaczęli głośno opowiadać najrozmaitsze anegdoty.

Ta odpowiedź Maniusi rozbawiła jednak towarzystwo i poprzez stół zawiązała się dość ożywiona rozmowa pomiędzy Ireną, Klimcią, doktorem i Maryewskim.

Gdy wstano od stołu, radczyni Derkowska skinęła na Maniusię i spytała półszeptem:

— Skąd ci do głowy przyszła ta „kolacya"?

— Bo pan doktor nie jadł, patrzał tylko na półmiski i wzdychał.

W salonie radczyni znów otoczyła swoją opieką Irenę, która po pewnym czasie spojrzała na zegarek i rzekła:

— Ciociu, muszę iść, już piętnaście na jedenastą.

— Ależ zostań, proszę cię.

— Nie mogę ciociu. Wymknę się z Romanem i nikt nie spostrzeże.

— No, to idź, tylko ostrożnie, bo wszyscy się ruszą.

— Pójdę do pokoju jadalnego, a ciocia wyprawi Romana do mnie, dobrze?

Radczyni skinęła potakująco głową.

Doktor zauważył jednak wyjście Ireny, a wiedząc, że o dziesiątej ma być w domu, wymknął się zręcznie z salonu i szukał swego palta w przedpokoju.

— Romanie, — zawołała radczyni, — zdaje mi się, że w jadalnym pokoju zapomniałeś swoją papierośnicę, idź poszukaj.

Po chwili Maniusia, która nie mając przy sobie Romana, nudziła się, chciała pójść do ojca, a przechodząc, dojrzała w przedpokoju ubierającą się Irenę. To ją tak zainteresowało, że posłuszna instynktowi gościnności, szybko wróciła do salonu i powiedziała radczyni:

— Czy wie pani? panna Irena ucieka.

— Gdzie? z kim? — uśmiechnęła się błogo matka Maniusi.

— Zdaje mi się, że z panem doktorem.

Wszyscy zaczęli się śmiać, a zaczerwieniona radczyni tłómaczyła:

— Rozbolała ją głowa... ale doktora nie puszczę, może jej tu proszki przepisać.

Napróżno radczyni zatrzymywała Lenckiego, wymówił się koniecznością odwiedzenia pacyenta.

Maryewski szukał swego palta, chcąc iść razem z Czajkowskimi, jako swymi sąsiadami, to zniecierpliwiło jednak radczynię i wezwawszy męża do pomocy, niemal pod przymusem zatrzymała Maryewskiego.

Po wyjściu Czajkowskich i doktora, pozostałe panie użyły dowoli, krytykując Warszawianki, ich kokieteryę i bałamucenie mężczyzn.

XVI.

Jednego dnia grudniowego otrzymał Roman bilet od Stokłosa z prośbą, ażeby przyszedł do niego.

— Nareszcie, doczekaliśmy się komisyi, — mówił do Romana po przywitaniu, — kosztowało mnie to dużo pracy i zachodu, ale osiągnąłem cel.

— Kiedy komisya schodzi na grunt? — spytał Roman.

— Dziś o jedenastej, mamy kwadrans czasu.

— To spieszmy się, — spojrzał Roman na zegarek.

— Niema potrzeby, — uśmiechnął się, — zanim się zejdą, będzie dwunasta, ale musimy być pierwszymi, chodźmy.

Po pewnym czasie weszli do budynku, przeznaczonego na kinematograf. W jednym rogu sali był urządzony bufet z przekąskami, a zawartość jego zbadał Stokłos okiem znawcy i wysłał służącego po kilka butelek porteru, gdyż przygotowana ilość wydała mu się zbyt małą.

Po półgodzinnem oczekiwaniu przyszli reprezentanci władzy, bezpieczeństwa publicznego, policyi, magistratu i delegowany lekarz, mały, nizki brunet z rysami wybitnie semickimi.

Stokłos, jako gospodarz, prosił przybyłych na kieliszek koniaku i przekąski.

— Wpierw obowiązek, a potem przyjemność, — rzekł z uśmiechem urzędnik policyi.

— Jednak na usilne naleganie gospodarza, przystąpił do bufetu. Natomiast sekretarz magistratu odmówił stanowczo:

— Nie pijam, a do jedzenia to pora jest dla mnie niewłaściwa.

Doktor nie dał się prosić i chętnie pił i jadł.

Rozpoczęło się szczegółowe badanie maszyny, urządzenia kinematografu, sali, wentylacyi, miejsca dla widzów. Porównywano wykonanie z przedłożonymi planami i wreszcie cała komisya zgromadziła się przy oddzielnym stole.

Członkowie komisyi poczęli kolejno krytykować cały zakład, a nie była to krytyka rzeczowa, nie stawiano istotnych zarzutów, lecz chwytano się lada drobnostki, którą można było z łatwością naprawić.

Stokłos przy pomocy Romana bronił się przed tymi zarzutami, to prosząc, to drwiąc, ale przedstawiciele władzy upierali się przy swojem zdaniu.

Ostatni głos miał doktor, oceniając zakład pod względem hygienicznym.

— Ja się nie mieszam do technicznego urządzenia, — mówił on, — bo to nie mój fach, ale ja komisyi coś powiem, co do mnie należy. Budynek ten stoi w podwórzu kamienicy. Kto chce pójść na kinematograf, ten musi przejść przez bramę kamienicy, czy nie tak?

— To jasne, ptakiem nie przeleci, — zaśmiał się Stokłos.

— No, dobrze... jeśli w kamienicy wybuchnie, co nie daj Boże, zaraza, jakaś epidemia, to wszyscy widzowie mogą się zarazić, a przez nich cały Kraków, — i patrząc z dumnem zadowoleniem na członków komisyi, czekał uznania dla swej przezorności.

Panowie z wielką powagą potakiwali głowami wywodom doktora, a Stokłos czując, że sprawa jego źle stoi, odezwał się szorstko:

— Co to za gadanie z tą epidemią, jeśli będzie w kamienicy, zamkniecie budę i po wszystkiemu, od tego jest policya i urząd sanitarny. To jest szukanie plam na słońcu.

— Jeszcze nie skończyłem, — mówił doktor z nadmierną powagą, — ja muszę spełnić obowiązek obywatelski... Otóż jeśli panowie z komisyi zgodzą się na otwarcie tego przedsiębiorstwa, ja z obowiązku lekarza, stawiam tylko ten jeden warunek, — uśmiechnął się, — ażeby wejście z ulicy do kinematografu było oddzielne i zupełnie izolowane od wejścia do kamienicy.

— Jakto? — oburzył się Stokłos, — czy sądzi pan, że gospodarz zgodzi się na rozwalenie kamienicy, ażeby dogodzić pańskiej fantazyi?

— Niech pan mnie nie obraża, — zawołał doktor z miną dumną. — Ja tu urzęduję, a za obrazę w czasie urzędowania, odpowiada pan przed sądem, przestrzegam.

— Tak jest, — dodał surowo urzędnik policyi.

— Ależ proszę panów, — gorączkował się Stokłos, — w Krakowie jest jeden jedyny kinematograf, mający wejście bezpośrednio z ulicy, i to w starej, gnijącej budzie drewnianej, mogącej z łatwością uledz pożarowi...

— My o pańskie zdanie co do innych przedsiębiorstw nie pytamy i proszę nam oszczędzić słuchania niepowołanej krytyki, — rzekł z godnością urzędnik policyi.

— Więc pomijam tę podłą budę, przeznaczoną do rozbiórki, wspomnę tylko, że do wszystkich kinematografów innych w Krakowie wchodzi się przez bramę w kamienicy, więc dlaczego mi pan, — zwrócił się do doktora, — robi podobny zarzut? Wymieć pan śmieci wpierw od siebie, a dopiero stawiaj mi pan tak wygórowane żądania.

— Panowie słyszycie? — spojrzał doktor na komisyę, — ten pan mnie obraża — wołał z pasyą do Stokłosa: — O jakich śmieciach pan mówi?

— Wszystko mi jedno, jakie pan chcesz, mogą być nawet żydowskie.

Doktor zwilżył językiem zapiekłe wargi, miał na ustach ostre słowa odpowiedzi, gdy wstał sekretarz magistratu i oznajmił z niezmąconą powagą:

— Komisya skończyła swe urzędowanie, wyrok jej otrzyma pan w tych dniach — i krokiem miarowym ruszył ku wyjściu, a za nim inni.

Stokłos był wściekły i mówił:

— A, psubraty! u żydów w kieszeni siedzą, lada Moszek zrobi, co zechce, a mnie stawiają możliwe i niemożliwe trudności. A wie pan, dlaczego ten żydek żąda oddzielnego wejścia do budynku?

— No, dlaczego? — pytał zniechęcony Roman.

— Bo jego krewny, także żyd, zamierza w tej dzielnicy urządzić kinematograf i temu pó dzie wszystko łatwo. Ale do kroćset dyabłów! nie dam się zjeść w kaszy. Będę apelował do namiestnictwa... do ministeryum... parlament poruszę!

— Może pan i wygra sprawę, ale na razie nie będzie można otworzyć budy i nic z naszych projektów.

— Nie otworzymy dziś, otworzymy za miesiąc, za dwa, i w każdym razie rezerwuję dla pana miejsce, jeśli pan czego lepszego nie znajdzie.

Smutny i rozczarowany wracał Roman do domu i przypadkowo spotkał Remberskiego, który po przywitaniu spytał:

— Cóż, mości dzieju, kiedy otwieracie waszą budę?

Roman opowiedział mu zabiegi Stokłosa i odmowę komisyi, wspominając z goryczą o żądaniu doktora.

— Cóż chcecie, — westchnął, — mówię wam, mości dzieju, że wkrótce żydy zagarną wszystko. Handel w ich ręku, kamienicę po kamienicy wykupują, do adwokatury, do doktorów, do urzędów pcha się to tałatajstwo. Cóż myślicie robić? ja to rozumiem, że wam ciężko.

— A, dyabli wiedzą! — zaklął Roman.

W tej chwili jakiś starszy pan przystąpił do Remberskiego i witał się serdecznie. Remberski przedstawił go Romanowi:

— Pan Rundspiel, ale on nie z naszych, chociaż ma takie palestyńskie nazwisko; a to, pan Czajkowski, poszukujący posady, dobry chłop, ale idzie mu jak z kamienia.

Inżynier, szpakowaty blondyn z przyciętą brodą, spojrzał uważnie na Romana, a dowiedziawszy się, kto on zacz i czego szuka, rzekł:

— Jest tu jedna posada w fabryce Spigelmana.

— Dawajcie ją, — ucieszył się Remberski.

— Idzie o to, — zaczął inżynier, — czy pan może złożyć kaucyę, a w takim razie mógłby pan otrzymać posadę kasyera z możliwą płacą.

— Ho, ho, mości dzieju, kaucya u żydowiny, to niepewny interes. A jak stoi finansowo ten Spigelman?

— Nic złego o nim nie słyszałem, ale ręczyć za niego nie mogę. W tej fabryce jest mój znajomy technik i on mi opowiadał o poszukiwaniu kasyera.

— A kaucya jak wysoka? — spytał Roman.

— Niewysoka, dwa tysiące koron. Możesz pan ją należycie zabezpieczyć i mieć jako kasyer trzysta koron miesięcznie, co jest, jak na nasze stosunki, płacą wcale dobrą.

Roman umówił się o czas i miejsce spotkania z inżynierem i owym technikiem, i dobrej myśli poszedł do domu.

Po obiedzie, gdy został sam na sam z matką, opowiedział jej o nowej propozycyi.

— Ach, Romciu, Romciu, tak się boję, — westchnęła zafrasowana, — chcesz powierzyć ostatnie pieniądze żydowi, a jeśli on cię zarwie?

— Zobaczę, mamo, przejrzę książki buchalteryjne, znam się przecież na tem, dowiem się o stanie jego majątku, o kredycie, zabezpieczę się... a trzysta koron miesięcznie jest dla nas ratunkiem.

— To prawda, Romciu, ale tak się boję... mam złe przeczucie. A pamiętasz, co ci opowiadał twój znajomy o tym Lenfusie z Oświęcimia.

— No, nie każdy żyd jest oszust, — zapalił papierosa i mówił: — naturalnie wolałbym z kimś swoim, ale ci wszyscy tutejsi, jak ćmy do światła, lecą do urzędów i w przemyśle ich niema.

— A wiesz, Romciu, ile nam zostało z twoich warszawskich oszczędności?

— No, ile?

— Równo dwa tysiące sześćset rubli, odliczając już grudzień, czyli za trzy miesiące z kilku dniami wydaliśmy tysiąc rubli, — mówiła z żalem.

— To w porządku, mamo, podróż, hotel, meble, mieszkanie, przecież to wielkie koszta. Niech się mama tem nie martwi, poradzimy sobie.

— Cóż, Romciu, decydujesz się na kaucyę?

— Prawdopodobnie, o ile będę miał pewność... Kiedy Irenka wróci?

— Pewno po szóstej... a jak ty myślisz, czy ona podobała się doktorowi?

— Zdaje się, ale od podobania do zakochania, no i małżeństwa, bardzo daleka droga.

— Dlaczegóż nie miałby się ożenić z Irenką? — ożywiła się matka, — on, zdaje się, porządny i za cny człowiek....

— To nie ulega żadnej wątpliwości.

— No, a Irenka przecież może się podobać, ładna, inteligentna...

— Moja mamo kochana, — zaśmiał się Roman, — tylko bez żadnego swatania i bez planów matrymonialnych. O tyle im z nami, a nam z nimi jest dobrze, o ile nie wchodzą w grę rachuby małżeńskie. Czy chce mama, ażeby od nas tak uciekali, jak od ciotki i od Klimci? — śmiał się.

— To już tylko wasza przesada, — oburzyła się matka, — ręczę, że Paulisi ani w głowie ciągnąć doktora albo pana Maryewskiego do córki, zwykłe formy grzeczności, nic więcej, a wy z tego zaraz robicie awanturę.

— To jednak dziwne, mamo, że nas czterech czuje i widzi...

— Jakich czterech? — zawołała matka.

— Irenka, doktor, Maryewski i ja, wszyscy czujemy to magnesowe napięcie na męża u wujostwa, ale mniejsza o to, tylko uprzedzam mamę, że doktor jest za wybredny i za wykwintny, ażeby wszedł w jarzmo małżeńskie. Co innego Maryewski, ten potrzebuje pielęgniarki, siostry miłosierdzia, on to czuje i ten napewno się ożeni.

— O, takiego męża dla Irenki nie chcę.

— Ależ, mamo, — mówił z udaną powagą Roman, — ten młody człowiek ma posadę, rangę, podobno jest majętny, a po jego najdłuższem życiu Irenka otrzyma ładną pensyę wdowią.

— Romciu! ty to na seryę mówisz? — zdziwiła się matka, — już tak dalece przesiąkłeś Galicyą?

— Moja mamo, trzeba się liczyć z warunkami realnego życia, — odpowiedział poważnie.

Czajkowska zarumieniła się leciutko, oczy jej zabłysły i powiedziała twardo:

— Ty możesz się liczyć z warunkami realnymi i żeń się, jeśli chcesz, z chorowitą, ale bogatą panną, ale proszę cię, wypuść z twej opieki Irenę. My obie decydujemy w tej sprawie, nie ty.

— Mamo, jestem zachwycony, — całował jej ręce, — jednak mama nie ma w sobie nic galicyjskiego, chociaż ukochany Jasio jest radcą, — śmiał się.

— Dajże mi spokój, — odsunęła się, — powiedz, co jest prawdą?

— To, co mama powiedziała: że nie wydamy Irenki za Maryewskiego, i jako jej opiekun daję swoje „placet“!

— Że też tobie żarty w głowie, i to w chwili tak rozpaczliwej dla nas!

— Czy mam się powiesić? — roześmiał się. — Dziś źle, a za kilka dni może być dobrze, mamy czas! jak mówią w Krakowie.

— Romciu, a możebyś poradził się kogo? a gdyby tak wuja...

— Nie, mamo, przecież przemysłowcy i kupcy nie należą do jego sfery. Ale i owszem, posłucham mamy, poradzę się kogoś znającego się na tych rzeczach.

W kilka dni później, Roman, ubezpieczywszy swoją kaucyę, jak mu się zdawało i co mu inni potwierdzili, najzupełniej, prawnie i handlowo, objął posadę kasyera z płacą trzystu koron miesięcznie i jednym procentem od czystego zysku.

Zajęty był w fabryce od ósmej rano do szóstej wieczór z pauzą obiadową od dwunastej do drugiej, Tym sposobem wieczory miał wolne, ale niebardzo z nich korzystał, gdyż fabrykant stopniowo, pod różnymi pozorami, wymagał od niego pracy dodatkowej, a i stosunki fabryczne nie były tego rodzaju, ażeby mu sprawiały przyjemność.

Prócz technika, inni urzędnicy fabryczni byli żydami, którzy chcąc się przypochlebić pryncypałowi, gdzie tylko mogli urywali zarobek robotnikom, zaś odbiorców oszukiwali o ile się dało na miarze, wadze i gatunku.

Roman spostrzegłszy te manipulacye, czynił im ostre wymówki, a gdy to nie pomogło, poszedł ze skargą do pryncypała.

— Co pan chcesz? — wzruszył ramionami szpakowaty brunet z chytremi, błyszczącemi oczyma w oprawie czerwonych powiek. — To jest interes, ja muszę zarobić. Taki cham, prosty chłop, on bierze więcej niż mu potrzeba. Takie teraz czasy, — westchnął. — Jak ja mu dam mniej, on mniej przepije i to mu wyjdzie na zdrowie.

— Ale ta troskliwość panu się opłaca, nie im, i taki stosunek jest niemożliwy.

— No, a pan co chce?

— Robotnika płacić według umowy i pilnować, żeby dobrze robił, a czy on swój zarobek przepije, czy przegra, to nie nasza rzecz.



— Pan Rundspiel, ale on nie z naszych.

— Pan bardzo sprawiedliwy człowiek. Ja już powiem tym gałganom. Ja nie chcę cudzej krzywdy.

— Dobrze proszę pana, i prosiłbym, ażeby wszystkich odbiorców naszych wyrobów jednakowo traktować i nie mieszać braków z dobrym towarem.

— Aj, co pan mówi? to oni mnie tak oszukują? — udał oburzenie.

— Oni robią to w najlepszych zamiarach, aby powiększyć dochód fabryki, i ich postępowanie mógłby ktoś niezbyt uczciwy tolerować, gdyby fabryka miała być zamknięta i nie zależałoby nic na opinii.

— Co pan takie rzeczy mówi? — oburzył się pryncypał. — Moja fabryka posiada zapewniony kapitał zapasowy, pan sam wie o tem, ona musi iść dobrze. Ja zaryzykowałem cały kapitał mój i posag mojej żony. My niezadługo powiększymy ją, sprowadzę nowe maszyny i nowy motor. Każdy odbiorca musi mieć towar „extra fein“.

— Niechże pan zwróci uwagę, — mówił Roman, ekspedytora i magazyniera, ażeby towar starannie gatunkowali.

— Ja bardzo panu dziękuję, — podał mu rękę pryncypał, — to objaśnienie pańskie warte złota, ja to będę pamiętać. Pan będzie mieć ładną gratyfikacyę za to.

Zaledwie Roman zamknął drzwi za sobą, fabrykant uśmiechnął się z pogardą i mruknął:

— Jaki on głupi! — i ani mu na myśl nie przyszło zganić innych urzędników, tylko rozmyślał z goryczą, że za głupie dwa tysiące koron musi znosić kaprysy swego kasyera. Jednak ten „polak“ jest nazbyt mądry, już napomyka o zamknięciu fabryki, może rozszerzać szkodliwe wieści i temu należy zapobiedz.

Przeszedł do biur fabrycznych i zawołał wszystkich współpracowników do jednego pokoju. Stanęli uszeregowani, wpatrując się z udanem przerażeniem w twarz pryncypała, który w obecności Romana przemówił:

— Doszło do mojej wiadomości, że w mojej fabryce nie jest wszystko „recht“. Moi robotnicy potrzebują się skarżyć, że im się urywa należna płaca, a od dwóch odbiorców moich wyrobów dostałem listy ze skargami na złą ekspedycyę towaru. Ja tu muszę wszystkim panom zapowiedzieć, że jeśli którego z was złapię na nieporządku, on zaraz straci miejsce, bo ja chcę z ludźmi wychodzić uczciwie i rzetelnie. Niech to sobie panowie zapamiętają, a pana, panie Moryc Fajgel, proszę do siebie, — i skinąwszy głową na pożegnanie, wyszedł pełen dumy i zadowolenia.

W swem biurze zasiadł na fotelu i zwrócił się z uśmiechem do stojącego buchaltera, mówiąc:

— Panie Moryc, czy pan wie, dlaczego ja to wszystko tamtym powiedziałem?

— Dlaczego nie mam wiedzieć? — uśmiechnął się, — pan pryncypał chce być w porządku, to jasne.

— Ale dlaczego ja chcę być w porządku? czy pan mi może to powiedzieć?

— Dlaczego?... pan pryncypał, jak przyjdą do niego ze skargami, powie im *kurz und bündig;* ja coś już o tem słyszałem i zapowiedziałem, żeby tego nie było, ja ich wypędzę! — śmiał się. — Czy nie tak?

— Panie Moryc, pan jesteś sprytny, ale pan potrzebuje u mnie się uczyć. Co mi zrobią ci, co przyjdą ze skargami? Oni przyjdą i pójdą, ale fabryka moja musi mieć dobrą opinię. Ja dlatego przyjąłem katolika na kasyera. On coś zwąchał, bo wy robicie niezręcznie. Ja musiałem wszystkich nakrzyczeć. Niech oni robią swoje, ale tak, żeby nikt nie widział. Czy pan mnie rozumiesz, panie Moryc?

— Co tu jest do zrozumienia, panie pryncypale? — uśmiechnął się dyskretnie. — Ja już wiem wszystko, ja im to powiem, co potrzebują wiedzieć... Panie pryncypale, poco ma ten Czajkowski wypłacać zarobki robotnikom, on się bardzo męczy, — uśmiechnął się, — ja sam zrobię listę wypłat, a on da tylko hurtowną sumę. Czy to będzie źle?

Pryncypał zamyślił się, brudnym palcem czyścił zepsute zęby, splunął, otarł palec wilgotny o spodnie i odrzekł:

— Co ma być w tem złego? niech pan spróbuje, panie Moryc. Ja chcę tego, żeby on wiedział tylko to, co my chcemy. Czy pan wie, co to znaczy?

— Dlaczego nie mam wiedzieć? Już ja to wszystko tak zrobię, jak trzeba. Czy pan pryncypał z tem się zgadza?

— Panie Moryc, co to za gadanie? Ja panu już powiedziałem, czego chcę, a pan niech wypełni mój rozkaz.

Stopniowo zmniejszał się zakres pracy Romana, zaś on, nie mając zamiłowania do tego zajęcia w fabryce, przyjmował chętnie czynione mu ustępstwa i ulgi.

XVII.

W Krakowie bawiono się w tym karnawale niezwykle huczno i wesoło, jakkolwiek całe Królestwo po ciężkich przejściach, wstrzymało się od odruchowo, bez żadnej agitacyi i naporu, od wszelkich głośnych i publicznych zabaw. Kraków bowiem, jak każdy filister i zależny biurokrata, ma szczególną niechęć do każdej manifestacyi, któraby zakłóciła jego zwykły porządek życia.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Studencki korpus strażacki.

Bardzo pocieszającym objawem jest niewątpliwie fakt, iż młodzież szkolna garnie się chętnie do różnych instytucyi, w których zaprawiać się może do pracy społecznej. Dobrą szkołą takiej służby obywatelskiej są ochotnicze straże pożarne, które prócz tego dostarczają członkom zdrowych ćwiczeń cielesnych. To też podnieść należy z uznaniem, że i w organizacyi pożarniczej bierze udział starsza młodzież gimnazyalna. Między innemi w Samborze, obok miejskiej straży pożarnej, utworzona została ochotnicza straż studencka, złożona z uczniów samborskiego gimnazyum. Dnia 5 b. m. z okazyi uroczystości strażackiej św. Floryana odbył się w Samborze wspólny popis miejskiej straży pożarnej i studenckiego korpusu ochotniczego. Młodzież z werwą i spokojem wykonała ćwiczenia z sikawką i drabiną, przy ćwiczeniach zaś taktycznych, wykonanych wspólnie ze strażą miejską, zyskała sobie zupełne uznanie czynników kompetentnych.

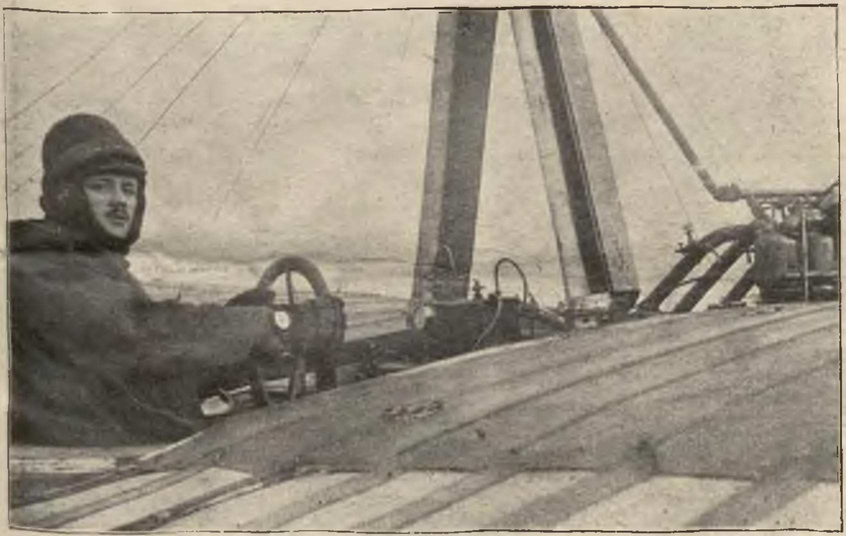
Korpus straży studenckiej składa się z 25 uczniów wyższego gimnazyum, którzy regularnie dwa razy tygodniowo odbywają ćwiczenia na strażnicy miejskiej pod kierownictwem naczelnika miejskiej straży pożarnej. Młodzież garnie się z chęcią i zapałem do tych ćwiczeń, które stanowią dla niej zdrową rozrywkę, a w akcyi ratunkowej przy pożarach oddaje niemałe usługi.



Studencki korpus strażacki: Grupa członków straży miejskiej i studenckiego korpusu ochotniczego w Samborze 1) Burmistrz dr. Steuermann. 2) zastępca burmistrza p. Horwat. 3) Dyrektor gimnazyum p. Szafran. 4) Naczelnik miejskiej straży pożarnej p. K. Górniak, organizator korpusu. 5) asesor miasta p. Ziemniak.

Katastrofa lotnicza w Częstochowie.

Największa zdobycz XX. wieku — podbój powietrza przez aeroplany — odnosi wprawdzie coraz



Katastrofa lotnicza w Częstochowie: Pilot i poeta B. Kamieński na aeroplanie.

większe tryumfy, ale opłaca je ciągłemi katastrofami i ofiarami. Widownią takiej katastrofy aeroplanowej była niedawno Częstochowa — jedno z nielicznych miast polskich, które miały możność oglądać tak znane już na zachodzie Europy popisy lotnicze.

Zapowiedź pierwszego wzlotu aeroplanowego w Częstochowie wywołała naturalnie olbrzymie zaciekawienie. Na pole popisów awiatycznych pospieszyły tysiączne tłumy, które, niestety, miały możność przekonać się, jak niebezpieczną jest jeszcze podróż napowietrzna.

Wzbudziła również zainteresowanie i osoba młodego lotnika, ucznia warszawskiej „Awiaty", p. B. Kamieńskiego, który rozpoczął ryzykowną karyerę lotniczą nie dla interesu, lecz z pobudek głębszych.

Wychowany śród borów i gór Uralskich, o wrażliwej duszy, pełen poezyi i umiłowania przyrody, po ukończeniu studyów przyrodniczych młody pilot próbował pióra i farby, zaznaczyć bowiem trzeba, iż p. Kamieński jest utalentowanym artystą malarzem, a oprócz tego pracuje z powodzeniem na niwie literackiej, jako poeta i nowelista. Z utworów jego, znajdujących się obecnie na półkach księgarskich, znane są „Lepianka" i „Na złotym półwyspie", nie licząc mnóstwa drobniejszych poezyi lirycznych, rozrzuconych po czasopismach.

Niestety, aeroplan okazał się bardziej zwodniczym od skrzydeł pegaza... Pierwsza publiczna podróż lotnika-poety skończyła się katastrofą. Przed oczami tysięcznych tłumów aeroplan wzbił się w górę, przepłynął kilkadziesiąt metrów po linii prostej, potem począł zataczać kręgi, gdy nagle pochylił się i jak raniony strzałem niewidzialnego myśliwca ptak — runął na ziemie.

Wśród nieopisanego popłochu pospieszono na ratunek lotnikowi, który uległ ogólnemu potłuczeniu, ale na szczęście bez groźniejszych dla życia następstw.

Pragnienie szerszych lotów przy pomocy wichrowych skrzydeł aeroplanu lotnik-poeta przypłacił tylko chorobą... W nieszczęśliwej kronice katastrof aeroplanowych jest to niewątpliwie szczęście...

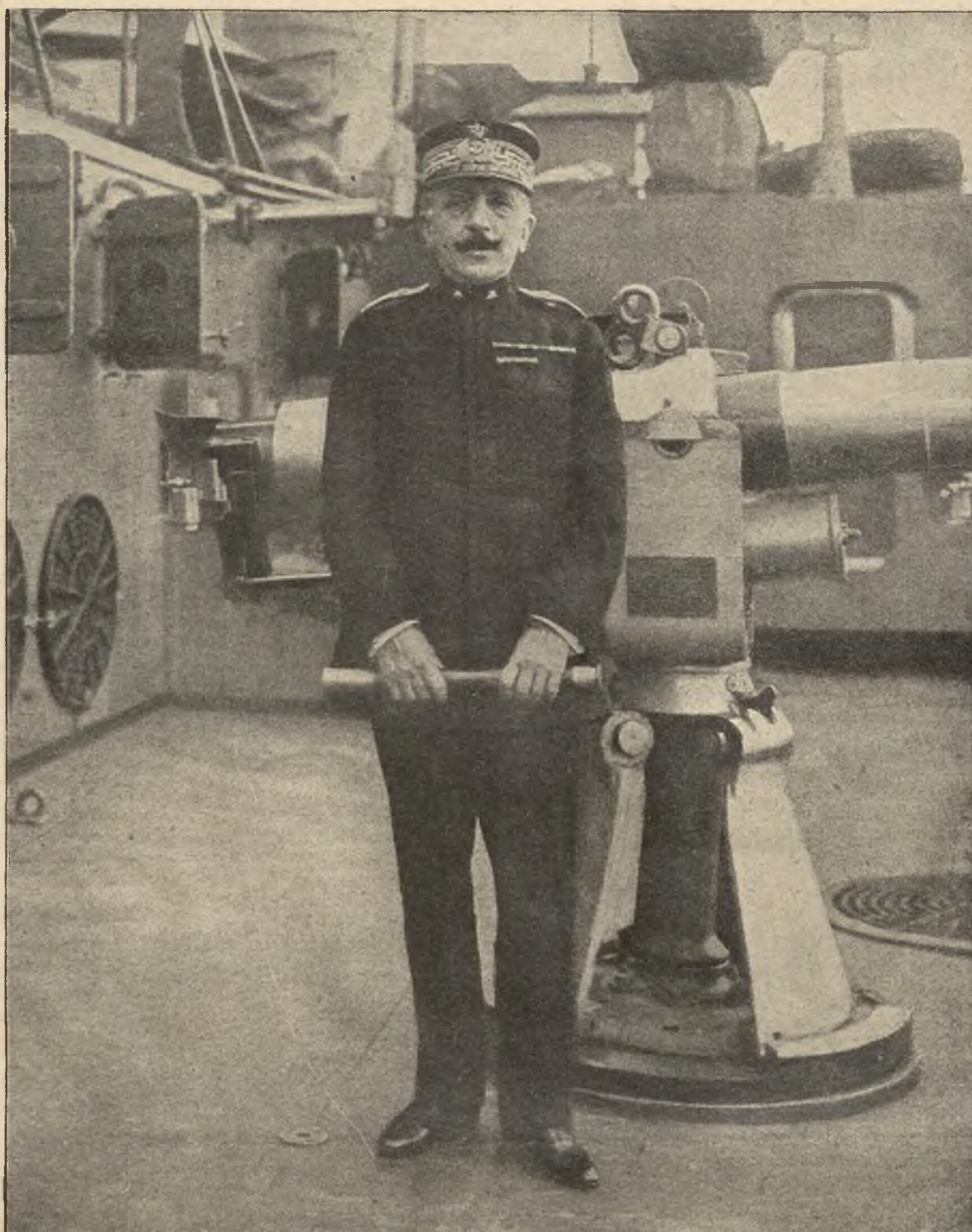
Nowa zdobycz Włochów.

Włosi po długim okresie klęsk i niepowodzeń w Trypolitanii, mają znowu okazyę do tryumfalnych uroczystości. Eskadra włoska, pod dowództwem wiceadmirała Viale, zdobyła kilka wysp na morzu Egejskiem, a ten fakt prasa włoska rozdmuchała do rozmiarów niebywałego „zwycięstwa"... Zwłaszcza zajęcie wyspy Rodos i kapitulacya miejscowego garnizonu wywołała we Włoszech wielki entuzyazm. Wątpliwą jest tylko rzeczą, czy i to zwycięstwo przechyli szanse toczącej się wojny na stronę Włoch.

W każdym razie Włosi mogą pocieszać się nową zdobyczą, która ma znaczenie nie tyle strategiczne, ile historyczne. Wyspa Rodos bowiem była w XIV i XV wieku siedzibą rycerzy zakonu św. Jana, którzy od tej wyspy zaczęli się nazywać rycerzami rodyjskimi, a w roku 1522, nie mogąc się oprzeć przemocy Turków, przenieśli się na Maltę. Główne miasto wyspy, Rodos, posiada też obecnie wiele ciekawych, a dobrze zachowanych pamiątek z czasu panowania tam zakonu Joannitów, jak zamek wielkiego mistrza i ulica dei Cavalieri z dobrze zachowanymi domami rycerzy zakonu. Jedna z naszych illustracyi przedstawia tę starożytną ulicę na wyspie Rodos.



Studencki korpus strażacki: Ćwiczenia straży miejskiej i studenckiego korpusu ochotniczego w Samborze. (X) Naczelnik straży miejskiej p. Górniak.



Nowa zdobycz Włochów: Wiceadmirał Leon Viale, dowódca eskadry włoskiej, operującej na morzu Egejskiem.

Dla naszych zdrojów.

Sanacya wewnętrznych stosunków w naszych galicyjskich zdrojowiskach i podniesienie ich materyalne od dłuższego już czasu stanowi poważną troskę społeczeństwa. Sprawa ta była już niejednokrotnie poruszaną w Sejmie galicyjskim, a znajduje szerokie echo w prasie krajowej.

Celem ujęcia pracy nad podniesieniem naszych zdrojowisk w jednolitą akcyę, został za inicyatywą hr. Jana Potockiego, p. J. Bandrowskiego i kilku innych działaczy założony krajowy Związek zdrojowisk i uzdrowisk, do którego przystąpili prawie wszyscy właściciele uzdrowisk galicyjskich. Zadaniem tego Związku jest roztoczenie baczne opieki nad naszymi uzdrowiskami, oraz pogłębienie wiedzy naukowo-lekarskiej w kierunku badania zdrojowisk, ich zalet i znaczenia naukowego. Od samego początku praca Związku okazała się bardzo pożyteczną, mimo iż musiał on walczyć z rozlicznymi trudnościami. Dzięki zabiegom Związku frekwencya gości w naszych uzdrowiskach w r. 1911 znacznie się podniosła. Za jego inicyatywą powstała składnica wód mineralnych, która zwiększyła znacznie ich konsumcyę, zdobywając nawet teren zbytu zagranicą. Również powstał przy Związku zakład kredytowy dla zdrojowisk, który oddaje ogromne usługi.

Pod względem naukowym Związek pobudził znacznie ruch w kierunku badań balneologicznych, a zarówno sekcya balneo-lekarska, jak i balneotechniczna Związku mogą wykazać się już, mimo stosunkowo krótkiego czasu istnienia, poważnymi rezultatami pracy.

Wzrastające agendy Związku, wydawanie własnego organu „Nasze zdroje" i t. p. wymagały odpowiednich biur i urządzeń. To też przed kilku dniami odbyło się uroczyste poświęcenie nowego lokalu Związku we Lwowie, przy ul. Romanowicza l. 9.

Na poświęcenie przybyło liczne grono gości, między innymi ks. A. Lubomirski, dr. Dembowski, dr. Jahl, dr. Bernadzikowski, prez. Lwowa Neumann i inni.

Ceremonii poświęcenia dokonał ks. biskup Bandurski w asystencyi prałata ks. Gorazdowskiego, poczem przemówił w serdecznych słowach. Przemawiali jeszcze ks. Lubomirski, prezes Związku hr. Jan Potocki i dr. Krzyżanowski. Uroczystość zakończyła się skromną ucztą.

Illustracya nasza przedstawia grupę uczestników uroczystości poświęcenia przed nowym lokalem Związku.



Dla naszych zdrojów: Uczestnicy uroczystości poświęcenia nowej siedziby kraj. Związku zdrojowisk i uzdrowisk we Lwowie. (Fot. M. Münz, Lwów).

Wychowanie pozaszkolne.

W wychowaniu młodych pokoleń ważną rolę odgrywa ciągłość roztaczanej nad dziećmi opieki. Zarówno w szkole, jak i poza szkołą dziecko powinno znajdować się pod rozumnym, kształcącym nadzorem, któryby je uchronił od złych wpływów, a nawet w zabawie pokierował niem odpowiednio.

Warstwy niezamożne, przedewszystkiem robotnicze, nie zawsze mogą zapewnić dostateczną opiekę dzieciom. Ojciec i matka zajęci cały dzień walką o kawałek chleba, muszą nieraz swe dzieci pozostawiać opiece sąsiadów lub współtowarzyszy, gdyż sami nie mają na to czasu. To też powstają coraz częściej instytucye, które starają się lukę tę w wychowaniu dzieci uzupełnić. Są to ochronki, do których gromadzi się ubogą młodzież szkół ludowych, aby w chwilach wolnych od nauki dostarczyć jej zabawy.

Rodzaj takiej ochrony prowadzą w Przemyślu OO. Salezyanie. Codziennie w oratoryum swego zakładu gromadzą chłopców z szkół ludowych. Przez dwie godziny chłopcy oddają się żywej zabawie, która kończy się nauką katechetyczną, poczem biedniejsi przysposabiają się do lekcyi na dzień następny w salach zakładowych, inni zaś idą to samo uczynić w domu. Jestto instytucya bardzo na czasie, która powinnaby przyjąć jak najprędzej cechę pierwszorzędnego znaczenia na polu socyalno-pedagogicznem i zainteresować żywo jak najszersze koła naszego społeczeństwa.

Doniosły wynalazek.

Wiek XX. w dziedzinie wynalazków przewyższył wszystkich swoich poprzedników. Gdy wiek XIX., zwany „wiekiem pary i elektryczności“, podbił powierzchnię globu ziemskiego, opasując go siecią linii kolejowych i telegrafu, wiek XX. zdobył ostatecznie powietrze, urzeczywistniając mrzonkę o człowieku-ptaku...

Gdy ciągle udoskonalane aeroplany i coraz śmielsi lotnicy zdobywają przestworza, wynalazcy pracują w dalszym ciągu nad ostatecznem ujarzmieniem tak groźnego jeszcze i niedostępnego dla człowieka żywiołu, jak woda... I w tym kierunku wiek XX. przyniósł doniosłe zdobycze... Dziś człowiek może nietylko latać po powietrzu, ale i chodzić po wodzie! W Niemczech wynaleziono w ostatnich czasach specyalnie skonstruowane chodaki, przy pomocy których można po wodzie spacerować, jak po stałym lądzie. Czynione z tymi „wodo chodami“



Nowa zdobycz Włochów: Ulica dei Cavalieri na wyspie Rodos, ze starożytnymi domami z czasów zakonu Joannitów.



Wychowanie pozaszkolne: Chłopcy uczęszczający do oratoryum ks. ks. Salezyanów w Przemyślu. (Fot. „Helios“, Przemyśl).

próby wydały jak najlepsze rezultaty. Utworzyło się już nawet osobne Tow. akcyjne w Saksonii, celem eksploatowania tego wynalazku.

Skonstruowane do spacerowania po wodzie chowachlarze umieszczone pod cylindrami, wprawiane w ruch przez odpowiedni mechanizm, który naciska się nogami. Do sterowania używa się zwykłego wiosła.

stom i podróżnikom, a także i wojskowości. Kwestyę jedynie stanowi jeszcze pytanie, czy nadaje on się do użycia także na wodzie bieżącej i czy napór fal nie spowoduje katastrofy.



Doniosły wynalazek: Spacer po wodzie, przy pomocy specyalnie skonstruowanych chodaków.



Doniosły wynalazek: Aparat do chodzenia po wodzie, zwinięty na plecach.

daki są bardzo lekkie, co stanowi główną ich zaletę. Mają długość nart, a formą przypominają dwa cylindry ostro zakończone. Zrobione są z kauczuku, a pokryte płaszczem z nagumowanego płótna żaglowego. Cylindry te wydyma się powietrzem i za pomocą specyalnie skonstruowanych chwytaczy przypina do obuwia. Do posuwania się po wodzie służą

Według zapewnienia wynalazców chodaki te nie przewracają się na wodzie, a w razie niebezpieczeństwa można je łatwo odczepić. Posiadają ponadto tę wygodę, że dadzą się rozłożyć na części i zwinąć, tak że można je nieść na plecach, przyczem cały aparat waży tylko 8 kg.

Wynalazek ten może oddać wielkie usługi tury-

Na razie jednak „wodo-chody“ dostarczą jeszcze jednego wesołego i ruchliwego sportu, który koła młodzieży z pewnością powitają z uznaniem.

Illustracye nasze przedstawiają sportowców, chodzących po jeziorze i sposób transportowania chodaków wodnych.



Krajowy wiec szewców we Lwowie: Grupa uczestników wiecu wraz z gośćmi. (Fot. M. Münz, Lwów)

Jerzy Spitzmuller i Armand Le Gay.

FABRYKANT MUMII.

8) Tłum. z francuskiego.

Vanesco wzruszył ramionami. Ależ zgadza się na wszystko, naturalnie. Zresztą inaczej być nie może.

— Dasz mi przynajmniej kredyt ośmiodniowy!

— Ależ daję piętnaście dni, jeżeli pan żąda. Nie poślę panu komornika.

— Będziesz miała 40 000 za ośm dni od dzisiaj — ale już zgoda między nami, nieprawdaż?

— Tak — zgoda! — odparła, śmiejąc się.

I podała mu do pocałowania swą drobną rękę, którą miał ochotę zgnieść.

ROZDZIAŁ IV

Miesiąc miodowy.

Państwo Bridgeton, pijąc herbatę, przeglądali korespondencyę, nagromadzoną podczas ich nieobecności. Poprzedniego dnia powrócili z Londynu i zamieszkali przy ulicy Cambon. Korespondencya zawierała listy, bilety wizytowe i depesze.

— Co za miły liścik od Morgensternów — spójrz, Jerzy.

— Tak — odparł Bridgeton, przeczytawszy szybko.— Bardzo ich lubię — będziemy się z nimi często widywali, jeżeli zechcesz.

— A! depesza od ciotki Warrington... Wylądowała w Southamptonie... Biedna ciocia! Tyle trudów ponosi dla mnie!

— I jak już wiele zrobiła! Jak dopomogła do naszego małżeństwa! Ostatecznie, wszystko jest dobre, co się dobrze kończy! Mieliśmy jednakże szczęście!

Samobójstwo twego biednego męża ułatwiło sprawę. Teraz nie mamy innych kłopotów, jak tylko kochać się.

— Jaki ty jesteś dobry! — westchnęła młoda kobieta z głębokiem wzruszeniem.

— Ależ nie — odparł, patrząc na nią z uwielbieniem. — Kocham cię, oto wszystko.

Przeglądając dalej korespondencyę — zawołał:

— Patrz! — karta doktora Vanesco! To bardzo pięknie z jego strony.

Żona zadrżała i zbladła śmiertelnie.

— Co ci jest? — zapytał Bridgeton z troskliwością.

— Nic.

— Jesteś blada...

— Zimno mi... jestem taka wrażliwa na chłód... Nie zważaj na to...

— Rzeczywiście — jakoś tu zimno... kaloryfery dają za mało ciepła... Poczekaj, poszukam jakiego okrycia. I wybiegł z pokoju. Po jego wyjściu, młoda kobieta zbladła jeszcze bardziej — dziwnie rozszerzone jej oczy przywarły do karty doktora, nie mogąc się od niej oderwać.

— Nędznik! — wyszeptała tak cicho, że nikt nie mógł tego usłyszeć.

W tej chwili powrócił Bridgeton i narzucił na ramiona żony ciepły szal.

— W tem będzie ci cieplej.

— Dziękuję ci, mój drogi, odparła, podając mu usta do pocałunku.

W tej chwili na zegarze w sąsiednim pokoju wybiła dziesiąta. Bridgeton zerwał się.

— Do licha! za kwadrans muszę być w sklepie. Pojedziesz ze mną?

— Wolałabym zostać. Czuję się bardzo zmęczoną po wczorajszej podróży.

— Rzeczywiście, wyglądasz bardzo źle. Czy nie jesteś wypadkiem chorą?

— Nie — to tylko zmęczenie — bądź spokojny. Odpocznę, wyśpię się i przyjdę w zupełności do siebie.

— I ja tak myślę — odparł, przeciskając ją do piersi i zasypując pocałunkami twarz i jasne włosy. Zresztą — dodał, biorąc kapelusz, prędko wrócę. Najpóźniej o wpół do dwunastej będę z powrotem.

Ellen wstała, żeby go odprowadzić do drzwi — i ująwszy jego głowę w swe drobne ręce — pocałowała go w czoło. Zaledwie jednak drzwi zamknęły się za nim, rysy jej wykrzywił ból — chwiejnym krokiem przeszła do swej sypialni i padła ciężko w głęboki fotel. Siedziała tak długo, nieruchoma, z odrzuconą w tył głową, zmarszczonem czołem — myśląc o czemś, co zdawało się sprawiać jej cierpienie. Oczy jej błądziły niespokojnie, jak gdyby szukała kogoś i chwilami zdawało się, że chce wzrokiem przebić mur...

— Zapomniałam prawie o tym przeklętym — szepnęła — przy boku mego biednego, drogiego męża. Wzywa mnie już! o!

Silny dreszcz przebiegł jej ciało od stóp do głowy — i szeptała dalej, bezsilnym głosem, wznosząc ramiona.

— I poco walczyć? Czyż nie jestem jego rzeczą? nędznem narzędziem, które zmiażdży jednem poruszeniem palca w chwili, gdy zechcę mu się oprzeć. O Boże! Boże! Nie myślmy o tem! Zapomnijmy o tych strasznych rzeczach.

Wyciągnęła rękę i nacisnęła guzik dzwonka. Po chwili weszła elegancka pokojówka w koronkowym czepeczku, wesoła z śmiejącemi się oczkami.

Ellen uśmiechnęła się do niej i rzekła:

— Proszę mi przynieść dzienniki.

W kilka minut wesoła pokojówka przyniosła pakiet dzienników, tygodników i miesięczników i upewniwszy się, że pani jej nic więcej nie potrzebuje — wyszła.

Ellen rozwinęła dziennik, z przed tygodnia leżący na wierzchu. Chciała czytaniem nowin stolicy zabić swe smutne myśli. Ale rzuciwszy nań okiem — młoda kobieta jęknęła z przerażenia.

Na pierwszej stronicy dziennika umieszczona była olbrzymia fotografia starca, siedzącego na krześle w głębi ogromnej kasy ogniotrwałej.

Trzymając dziennik w drżącej ręce Ellen wpatrywała się w fotografię.

— Ach! biedny... biedny starcze! — zawołała wreszcie. — Oto co z ciebie zrobił! I to samo chce zrobić z moim mężem, którego kazał mi zamordować! Nie! nie chcę! Kocham go! Kocham mego Jerzego! Nie chcę, żeby umierał!

Młoda kobieta wykrzyknęła to z całą mocą, która obudziła do życia jej siłę woli i energię. Był to jednak wysiłek zbyt potężny dla jej słabego organizmu. Dostała nagle silnego ataku nerwowego. Po ataku przyszło zemdlenie.

Wreszcie ocknęła się — zdawało się jej, że przez ten czas zaszła w niej ogromna zmiana. Poczucie siły woli wzmogło się niesłychanie. Wstała, odrzuciła zmięty dziennik i poczęła przechadzać się wielkiemi krokami po pokoju. Twarz jej wyrażała zdziwienie.

— Co się stało? — zapytała wreszcie z wybuchem prawdziwej radości. Zdaje mi się, że powróciłam do dawnego stanu... że łańcuchy, wiążące mnie — opadły...

Tak — jestem wolna! wolna... wolna...

Powtórzyła kilkanaście razy to słowo. które zdawało się zawierać w sobie nadludzką radość.

— Tak! wolna! nareszcie wolna! Nie czuję tej potwornej opaski na mózgu... Nie myślę tak, jak mi każą, ale jak sama chcę!

I dodała głosem, w którym czuć było niezłomną wolę:

— Mogę mówić teraz co chcę i co myślę! Co za radość! Mogę teraz uratować mego drogiego męża, za którego gotowa jestem przelać ostatnią kroplę krwi. Miłość silniejsza jest nad wszystko — miłość, której nie podejrzewam...

Potem — zwracając się do drzwi — zawołała w podnieceniu.

— Wyzywam cię teraz Fabrykancie mumii! Możesz przyjść! Nie należę już do ciebie! Twoje oczy przeklęte nie przeszkodzą mi wyznać prawdy, całej prawdy!

Jakby w odpowiedzi na to pytanie, które rzuciła w przestrzeń — usłyszała dźwięk dzwonka — potem zbliżające się kroki — drzwi otworzyły się i ukazał się w nich mężczyzna, który wszedł z głębokim ukłonem.

— Pan doktor Vanesco, pani Ellen Bridgeton, moja żona, prezentował Bridgeton, wchodząc z kolei.

Doktor skłonił się po raz drugi.

— Zdaje mi się — rzekł Bridgeton, że państwo się już znają.

— Istotnie — odparł Vanesco, miałem zaszczyt być przedstawionym pani na balu jubilerów w hotelu Continental.

— Spotkałem doktora — tłumaczył Bridgeton, i będąc niespokojnym o ciebie, wyglądałaś na chorą — poprosiłem, żeby zaszedł wraz ze mną. Młoda kobieta nie odpowiedziała. Patrzyła kolejno na męża i na doktora z głębokiem przerażeniem. Wargi jej poruszały się z wysiłkiem, jak gdyby nie była w stanie przemówić, tego, co chciała.

Można było przypuszczać, że toczyła się w niej zawzięta walka, i że starała się oprzeć jakiemuś tajemniczemu wpływowi, który stopniowo opanowywał jej wolę.

— Rzeczywiście — rzekł Vanesco, utkwiwszy swe czarne oczy w twarzy pani Bridgeton. — Pani wygląda, jak gdyby przechodziła kryzys nerwowy, niesłychanej siły.

Mówiąc to, wziął ją za rękę, z uśmiechem nieco sztucznym, w którym baczny obserwator mógłby dojrzeć żywy niepokój.

— Czas już był! — rzekł do siebie... Dobrze pan zrobił, panie Bridgeton, wzywając mnie... Zechce pani usiąść...

Posłuchała go machinalnie, pozwoliła się prowadzić i posadzić w milczeniu, nie okazała najlżeszego protestu. Utkwiła oczy w oczach doktora i patrzyła w nie, jak ptak hypnotyzowany wzrokiem węża.

— No — rzekł Vanesco z zadowoleniem, niema nic strasznego... wielkie osłabienie nerwowe potrwa jeszcze przez dziś, jutro wszystko będzie dobrze.

Ale trzeba robić wszystko co powiem — pani rozumie, wszystko...

Skinęła głową na znak zgody i uśmiechnęła się słabo.

— Tak, doktorze, tak — będę posłuszną... dziękuję. I wyciągnęła rękę, którą Vanesco uścisnął.

Zwracając się do Bridgetona, który przyglądał się tej scenie ze zdziwieniem — doktor rzekł:

— Proszę się uspokoić, nic groźnego. Wstrząśnienie nerwów, oto wszystko. Zapiszę brom — to najlepszy środek.

Wydarł kartkę z bloku, napisał szybko receptę i podał ją młodemu człowiekowi.

— Gdyby pan był niespokojny, proszę zatelefonować do mnie. Zresztą, jutro odwiedzę naszą drogą chorą.

Tym ostatnim słowom towarzyszyło hypnotyzujące spojrzenie w stronę młodej kobiety; skinęła słabo głową.

Gdy Vanesko wyszedł, odprowadzony przez Bridgetona, Ellen opuściła głowę na piersi i szepnęła zrozpaczonym głosem:

— Skończone... teraz skończone... Jego wzrok wbił straszliwą tajemnicę na dno serca... Nie wydobędzie się stamtąd... Już nigdy nie będę mogła powiedzieć... I dodała z gwałtownem łkaniem.

— Nieszczęsna!... Muszę zabić swego męża, którego kocham!

ROZDZIAŁ V.

Pani Rouve nie wierzy własnym oczom.

Pani Rouve, odźwierna domu, gdzie mieszkali Bridgetonowie, wesoła i grzeczna kumoszka, niesłychanie żywa przy swych pięćdziesięciu latach, zabierała się właśnie do swej rannej kawy, gdy ujrzała przechodzącego koło loży młodego człowieka, ubranego z wyszukaną elegancyą, który ukłonił się jej jak dobrej znajomej i wbiegł szybko na schody. Zdawał się bardzo śpieszyć.

W kilkanaście minut później, ten sam młody człowiek powrócił i zastukał do okienka.

— Dzień dobry pani — rzekł żywo.

— Dzień dobry, panie Karolu.

Znała go tylko z imienia, słysząc często jak mówił tak doń Bridgeton. Młody człowiek pracował w sklepie jubilera i przychodził do jego mieszkania codzień rano, prawie zawsze o tej samej godzinie, i wracając — niósł dużą żelazną kasetkę.

Tego ranka żywe zdziwienie malowało się na twarzy p. Karola, kiedy pytał:

— Czy niema nikogo w mieszkaniu pryncypała?

— Jakto, niema nikogo? — zdziwiła się z kolei odźwierna.

— Do licha! dzwoniłem z dziesięć razy i nikt mi nie odpowiedział.

— Nikt nie odpowiedział?... To niemożliwe... Może nie dzwonił pan dosyć silnie.

— Mówię pani, że dzwoniłem kilka razy.

— Przecież pokojówka powinna być. Przychodzi codzień o wpół do ósmej z rana, do miasta dziś nie wychodziła, jestem tego pewna. Siedzi pewno w kuchni i nie słyszała dzwonka.

— W takim razie musi być głucha jak pień — rzekł młody człowiek, wzruszając ramionami.

— Idę z panem — oznajmiła odźwierna — zobaczymy, czy ta panna nie usłyszy mego dzwonienia!

Przybywszy na platformę drugiego piętra, nacisnęła silnie guzik dzwonka i z pewnością siebie czekała na otworzenie drzwi.

Słychać było ostry dźwięk dzwonka, poczem nastąpiła zupełna cisza. Najlżejszego szmeru!

— A co pani mówiłem? — odezwał się p. Karol. Nie odpowiadając, odźwierna zadzwoniła po raz drugi, trzeci, czwarty, stale bez skutku.

— Ma pan słuszność — zawołała, widocznie pokojówki niema w mieszkaniu. Gdzież może być w takim razie? Może poszła do swego pokoju... Pójdę zobaczyć... Niech pan tu poczeka, może tym-

czasem otworzą. To by mnie nie zdziwiło wcale — może p. Bridgeton zechce zobaczyć o co chodzi... Zresztą wrócili wczoraj późno z teatru, przytem muszą liczyć na tę Maggie, tak nazywają pokojó wkę. Ładne imię, co? No, idę! I pani Rouve z pośpiechem, na jaki pozwalala jej tusza, weszła na szóste piętro schodami kuchennemi. Ku wielkiemu swemu zadowoleniu przekonała się, iż nie omyliła się. Z pokoju Nr. 8 dochodził młody kobiecy głos, śpiewający na całe gardło jakąś angieską piosenkę.

Pani Rouve zapukała mocno do drzwi, śpiew umilkł i zapytano z silnym akcentem angielskim:

— Kto tam?

— To — ja, odźwierna... Proszę otworzyć.

— W tej chwili, pani Rouve.

Drzwi otworzyły się i ukazała się w nich ładna twarzyczka pokojówki Bridgetonów.

— Proszę się mną nie krępować — zawołała pani Rouve, stwierdzając ze zdumieniem, że Maggie jest nieuczesana i nieubrana, jak gdyby zapomniała zupełnie o swych obowiązkach. Rzuciwszy okiem na nieład w pokoju i rozrzucone łóżko — pani Rouve dodała:

— Możnaby powiedzieć, że pani dopiero wstała.

— I tak jest rzeczywiście, proszę pani — odparła młoda dziewczyna, rumieniąc się. Wyspałam się za wszystkie czasy! o! ale otrzymałam na to pozwolenie. Pani, wychodząc wczoraj do teatru — powiedziała mi:

— Maggie, masz wolny wieczór — możesz go użyć, jak zechcesz!

— Skorzystałam z tego i wróciłam do domu późno, gdyż pani dodała jeszcze — o! pani jest bardzo dobra:

— Jutro nie potrzebujesz zrywać się wcześnie — wstaniemy później niż zwykle — i wystarczy, jeżeli przyjdziesz o dziesiątej...

— O dziesiątej! — przerwała odźwierna. Ależ teraz już jedenasta!

— Jedenasta! — krzyknęła pokojówka, podskakując — ależ to nie możliwe! Patrzyłam przed chwilą na zegarek — proszę!

I podała pani Rouve mały stalowy zegarek, wskazujący wpół do dziesiątej.

— Późni się straszliwie, albo nie idzie? — odparła odźwierna.

Istotnie — przyłożywszy zegarek do ucha — Maggie nie usłyszała zwykłego tykotania. Zegarek stanął.

— O! mój Boże! — krzyknęła, co pani powie!

— Tem bardziej, że od godziny prawie dzwonią do drzwi — odparła odźwierna.

Maggie zwinęła jednym ruchem ręki włosy i gorączkowo kończyła się ubierać.

Na drugiem piętrze p. Karol czekał cierpliwie przed zamkniętemi drzwiami.

— A! jednakże pani jest — rzekł kłaniając się grzecznie pokojówce, gdy otworzyła mu drzwi. Pani Rouve przypuszczała, że pani zginęła.

Pani będzie tak dobra i powie pryncypałowi, że czekam na kasetkę.

Młoda dziewczyna znikła i po chwili wróciło blada z wystraszoną twarzą.

— Niema nikogo... — rzekła zmieszana.

— Nikogo? — krzyknęli jednocześnie odźwierna i subjekt z najwyższem zdumieniem.

— Tak — mieszkanie jest puste.

Wszyscy troje weszli jednocześnie do sypialni i przekonali się, że tak było istotnie. Łóżka nie były nawet poruszone. Przebiegli całe mieszkanie, nie znajdując nigdzie śladów pobytu państwa Bridgeton. Pozatem w mieszkaniu wszystko było w zupełnym porządku.

— Dziwne, dziwne... — mruczała pani Rouve, nie wierząc własnym oczom. — Wczoraj wrócili bardzo późno... mogę nawet powiedzieć, o której godzinie... było wpół do pierwszej... Jeszcze nie spałam... miałam gości, którzy wyszli kwadrans na pierwszą... Oddałam panu Bridgeton list, który przyniesiono o dziewiątej wieczorem. Oboje zdziwili się, że jeszcze nie śpię i życzyli mi dobrej nocy. Później nie wychodzili wcale, jestem tego pewna, mogłabym dać za to głowę. Nikt wogóle nie wychodził.

— Jednakże — przerwał Karol — widzi pani, że nikogo niema w mieszkaniu...

— Widzę dobrze, a co wiem, to wiem — odparła odźwierna ze złością. — Powtarzam panu, że wrócili i nie wyszli potem. Zabijcie mnie, a nic nie rozumiem.

— Łóżka nie poruszone...

— No tak, to prawda... Nie zechce pan dowodzić, że nie widziałam, jak wracali.

— W takim razie, jakim sposobem wyszli?

— Skądżeż ja mam wiedzieć? — odparła pani Rouve, wzruszając ramionami. — Nic z tego nie rozumiem, to jakaś tajemnica.

— W każdym razie trzeba to wyjaśnić — rzekł subjekt — a tymczasem nie wiem, co zrobić. Przedewszystkiem w sklepie czeka na pryncypała jeden klient. Co mu powiem? A potem przyszedłem po kasetkę?

— Po kasetkę?

— Tak, po kasetkę, w której pan Bridgeton zabiera na noc najdroższe klejnoty. Codzień rano odnoszę je do sklepu.

— Ach! To pan ją zawsze tak niesie ostrożnie, jak gdyby była szklana. Muszą tam być grube pieniądze!

— Do licha! Prawie milion!



— Dobrze pan zrobił, panie Bridgeton, wzywając mnie... Zechciej pani usiąść...

— Uf! — zawołała odźwierna z uwielbieniem... I gdzież jest ta wspaniała kasetka?

— W kasie ogniotrwałej pryncypała. Często sam ją stamtąd wyjmuję.

— Więc zna pan sekret zamku?

— Tak, pan Bridgeton nauczył mnie go, gdyż często posyła mnie do domu po klejnoty lub pieniądze. Ufa mi.

— Więc cóż panu przeszkadza zabrać dziś kasetkę?

— To prawda, przecież czynię to codzień!...

Klucz leżał na kasie. Młody człowiek bez wahania otworzył kasę. Kasetka znajdowała się na miejscu i Karol wyjął ją natychmiast.

— Proszę spojrzeć, pani Rouve — rzekł, podczas gdy obie kobiety nachyliły się z ciekawością, chcąc zobaczyć zawartość kasetki.

Ale w chwili, gdy ją otworzył, wszyscy troje wydali okrzyk: — kasetka była pusta.

— Tego już za wiele! — zawołał subjekt, nie mogąc uwierzyć własnym oczom.

— Mówiłam panu! — krzyknęła z kolei pani Rouve. — W tem wszystkiem jest coś tajemniczego. Państwo Bridgeton znikają nagle tak, że nie można tego wytłumaczyć... kasetka pusta... Teraz pan mi wierzy?

— Rzeczywiście, to strasznie dziwne — odparł subjekt, kiwając w zamyśleniu głową.

Dotąd nie dowierzał temu, co mówiła odźwierna. Teraz ta pusta kasetka napełniła go niepokojem.

— Wartoby może, na wszelki wypadek zawiadomić policyę — rzekł po chwili.

— Od początku o tem myślałam — przyznała pośpiesznie odźwierna. Pójdzie pan ze mną? Nie? Jak pan chce... Toby dodało wagi moim zeznaniom... Ci panowie z policyi tak dziwnie obchodzą się z nami, biedakami... Zresztą pan nic nie widział...

Wszyscy troje wyszli, gdyż Maggie obawiała się pozostać sama w pustem mieszkaniu. Pani Rouve wpadła na chwilkę do swej loży, by poprawić toaletę przed udaniem się na policyę.

ROZDZIAŁ VI.

Kobieta z zielonemi oczami.

Szybko i barwnie, z mnóstwem szczegółów opowiedziała pani Rouve swą dziwną przygodę komisarzowi policyi, p. Maugron, do gabinetu którego wprowadzono ją prawie natychmiast po zgłoszeniu się do komisaryatu.

Siedząc przy swem biurku w głębokim fotelu i bawiąc się nożem z kości słoniowej, urzędnik wysłuchał z uwagą opowiadania, ożywionego wyrazistą grą fizyonomii pani Rouve.

Pan Maugron miał za zasadę wysłuchiwać cierpliwie każdego, kto się doń zgłaszał, bez względu na to, do jakieś sfery należał zgłaszający się.

W danym wypadku jednak słuchaj uważniej, niż zwykle. Pani Rouve opowiadała mu o tajemniczem zniknięciu, a w ostatnich czasach tyle było w Paryżu sensacyjnych wydarzeń na tle zniknięcia, iż nikt nie był w stanie słyszeć tego słowa bez wzruszenia. Kojarzyło się to odrazu w myśli ze strasznem widmem Fabrykanka mumii, który napawał całe miasto przerażeniem.

Z drugiej strony powstawały na tem tle ciągłe nieporozumienia i fałszywe alarmy. Co jakiś czas zgłaszali się na policyę różni ludzie i zawiadamiali o tajemniczych zniknięciach, które w końcu dawały się wyjaśnić w najrozmaitszy sposób.

To też p. Maugron miał się na baczności, i gdy odźwierna skończyła swe opowiadanie — rzekł drwiąco:

— Ależ to istny cud opowiedziała mi pani.

— Słowo daję, panie komisarzu — odparła naiwnie pani Rouve — to tak wygląda...

— Na nieszczęście — ciągnął urzędnik z uśmiechem — nie znam się na cudach...

— A więc pan mi nie wierzy? — zapytała z oburzeniem... Przecież mówię i powtarzam, że jestem tego wszystkiego pewna.

Patrzyła badawczo na komisarza, zaczerwieniona, z pięściami wspartemi na biodrach.

— Proszę, niech się pani uspokoi...

— Niczego więcej nie pragnę — odparła odźwierna, której gniew znikł odrazu na widok grzecznego obejścia urzędnika. — Ale chcę, żeby mi wierzono...

— Żeby pani wierzono! Z tem będzie trudniej. Proszę się zastanowić. W tem, co mi pani opowiedziała, jedno drugiego się nie trzyma.

— Jakto? Przecież to wszystko prawda...

— Kto pani uwierzy? Kogo pani potrafi przekonać, że ludzie zamknięci w swem mieszkaniu, znikają nagle tak, że nikt tego nie widział! To absurd!

— Absurd! — zawołała pani Rouve, bliska rozpaczy, czerwieniejąc gwałtownie. — A proszę sobie przypomnieć, panie komisarzu, że ten biedny baron Collet również znikł w taki nadzwyczajny sposób, że dotąd nie umieją sobie tego wytłumaczyć! A przecież to była prawda

Te ostatnie słowa uderzyły żywo pana Maugrona, zachwianego już nieco stanowczym tonem odźwiernej. Zastanawiał się przez chwilę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

25 lat na posterunku.

Sumienna, wytrwała i owiana duchem obywatelskim praca jest podwaliną pomyślnego rozwoju in-



Dwadzieścia pięć lat na posterunku: Rad. Bolesław Lewicki, dyrektor lwowskiej filii krakow. Tow. wzajemnego kredytu.

(Fot. M. Münz, Lwów).

stytucyi, społeczeństw i narodów. To też ogół ma obowiązek taką pracę cenić i otaczać należnem uznaniem. Wyrazem takiego uznania był niewątpliwie jubileusz radcy m. Lwowa, p. Bolesława Lewickiego, który w tych dniach obchodził 25 lecie swej pracy w lwowskiej filii krakowskiego Tow. wzajemnego kredytu, której jest dyrektorem. Urodzony we Lwowie w r. 1863, p. Lewicki pragnął najpierw poświęcić się pracy na roli. Ostatecznie jednak obrał karyerę bankową, a dzięki wybitnym zdolnościom zdobył w niedługim czasie poważne stanowisko. Jubilat znany jest we Lwowie ze swej humanitarnej działalności, jak również z gotowości i zapału, z jakim bierze udział w szerokiem życiu obywatelskiem.

Od 10 lat jest członkiem Rady miejskiej, w której zajmuje poważne stanowisko. Bardzo cenione są także jego prace i studya ekonomiczne.



Walka z apaszami: Willa, w której zabarykadowali się i zginęli paryscy bandyci automobilowi Garnier i Vallet.

Nowy klub sportowy w Krakowie.

Od dawna dawał się w Krakowie odczuwać brak towarzystwa, któreby zająć się chciało rozwojem miejscowego sportu kolarskiego i motorowego, jednego z najzdrowszych i stanowczo najprzyjemniejszych sportów. We Lwowie rozwijał się ten sport conajmniej równomiernie z innymi, podczas gdy w Krakowie był prawie na ostatnim planie... Obecnie luka ta została wypełnioną. Dzięki inicyatywie znanego cyklisty i motorzysty p. Zenona Wołoszynowskiego, powstał w Krakowie „Klub Cyklistów i Motorzystów“ mający na celu rozpowszechnianie sportu kolarskiego przez urządzanie zbiorowych wycieczek, wyścigów, zabaw sportowych i tp.

Nie dawno odbyło się uroczyste otwarcie sezonu kolarskiego nabożeństwem w kościele N. P. Maryi oraz popołudniową wycieczką do Skały Kmity, przy udziale przeszło 50 członków nowo założonego klubu.



Nowy klub sportowy w Krakowie: Członkowie świeżo zawiązanego w Krakowie Klubu cyklistów i motorzystów.

Kronika tygodniowa.

Nawiązując do zakończenia poprzedniej kroniki, w której, biorąc assumpt z oblężenia bandytów automobilowych w Paryżu, wspomniałem mimochodem i o naszych stosunkach w tym względzie, muszę jeszcze raz powrócić do tej sprawy, zwłaszcza, że złośliwa dłoń metrampaża z powodu braku miejsca ucięła rzecz najważniejszą.

Wywód zaś, pozbawiony konkluzyi, to jak ów pies bez ogona.

Chodziło mi o to, że nasza straż bezpieczeństwa nie odpowiada wymogom dwudziestego stulecia, że jest to po prostu anomalia, domagająca się jak najrychlejszej i najgruntowniejszej reformy.

Zupełnie tego samego zdania był i wiec obywatelski we Lwowie, który powziął uchwałę, by wezwać miarodajne czynniki, aby zajęły się sprawą przekształcenia straży bezpieczeństwa z wojskowej na cywilną, to jest podległą bezpośrednio i jedynie dyrekcyi policyi.

Powodem było „zbyt energiczne“ urzędowanie na ulicy. Wzmianka o niem obiegła całą prasę europejską, odbiła się także i o ściany wiedeńskiego parlamentu.

Nie tak to dawne czasy, gdy i Paryżanie stawali w czynnej obronie każdego aresztowanego osobnika, utrudniając przez to wykonywanie służby publicznego porządku i nie zdając sobie z tego sprawy, że w ten sposób rozzuchwalają bandytów, pewnych bezkarności.

Zemściło się też to na nich samych, na paryskim bruku zakwitły tego rodzaju ananasy jak Garnier, Bonnot i koledzy, stanowiący dobrze zorganizowaną szajkę, będącą postrachem całej okolicy w kilkunastokilometrowym promieniu.

Teraz dopiero przyszli Paryżanie do przekonania, że trzeba wyciąć ten wrzód, dopóki nie zakazi całego organizmu. Wykonanie operacyi powierzono prefektowi policyi, panu Lepine, wzywając go do energicznego działania.

Operowano też nawet przy pomocy materyałów wybuchowych, a jeszcze mieszkańcom Paryża zdawało się, że to nie jest energia tego rodzaju, jakiejby należało użyć w stosunku do apaszów i żądają reorganizacyi policyi. Miejsce dawnej bezkrytyczności zajęła rozwaga, prefekt policyi kilkakrotnie był nawet przedmiotem owacyi ze strony tłumu, któremu bandytyzm dał się już porządnie we znaki.

Tak dzieje się w Paryżu, nie o wiele przecież różnią się stosunki i gdzieindziej w Europie, więc n. p. we Lwowie i w Krakowie.

Połóżmy rękę na sercu, powiedzmy sobie, że i między nami jest wielu takich, którzy doznają pewnego rodzaju nerwowego podrażnienia na widok pierwszego lepszego awanturnika, prowadzonego przez żołnierza policyjnego „pod telegraf“. Nikt nie spyta, co zbroił, większość uważa go za męczennika i chętnie dopomoże do ucieczki z rąk stróża bezpieczeństwa publicznego, który wykonuje tylko swój przykry obowiązek.

Jeszcze nie jesteśmy tak idealnem społeczeństwem, abyśmy się mogli obejść bez policyi, wiele indywidyów tylko widok półksiężyca hamuje w ich zbrodniczych zapędach.

Jest to więc, powiedzmy złe, ale złe konieczne.

Rzecz prosta, że i policya często zanadto może energicznie zabiera się do dzieła, ale częściowo wytłumaczyć może ją przykre położenie, w jakiem się znajduje, częściowo zaś wadliwa jej organizacya, nie odpowiadająca zupełnie duchowi czasu, ale cofająca się wstecz o jakie lat sześćdziesiąt.

Co do pierwszej okoliczności, to słusznie zauważył jeden z astronomów-filozofów, badający dzieje policyjnego półksiężyca, że żołnierz policyjny to bardzo wielki dostojnik, bo siedzący aż na dwu krzesłach, niestety, oba są dziurawe. Ciągle grozi mu niebezpieczeństwo, że wpadnie, jeśli nie tu, to tam!... Zbytnia wyrozumiałość wobec publiczności spotyka się z naganą władzy przełożonej i zarzutem, że brak jej energii, energiczniejsze wkroczenie ściąga na jej głowy gromy prasy i całego społeczeństwa. Należałoby wynaleźć pośrednią drogę, którąby obie strony zadowoliła.

A gdzie szukać przyczyny, że się tej drogi najczęściej nie znajduje, choć się jest jej tak blizko? Winę ponosi tu znów wadliwa organizacya. Lwów, Kraków i Przemyśl mają wojskową straż policyjną, nie dorosłą do swego zadania, gdyż nie posiadającą odpowiedniego fachowego wyszkolenia.

Żołnierze policyjni rekrutują się z pośród obowiązanych do trzyletniej służby wojskowej po odbyciu jednorocznego, tak zwanego popularnie „wydrylowania“ przy kompanii. Najpierw zaprasza się na ochotnika, kto się zgłosi do pełnienia tych przyjemnych obowiązków, gdy brak zaś kandydatów, przeznacza się ich z urzędu... A chyba nikt nie przypuści, aby któryś kapitan chciał się pozbyć ze swej kompanii najlepszych żołnierzy, a zostawił sobie „unfermy“...

Teraz dopiero zaczyna się kształcenie zawodowe nowozaciężnych stróżów bezpieczeństwa, lecz nauki udzielają nie ludzie fachowi, więc n. p. starsi urzędnicy policyjni, ale oficerowie, a właściwie podoficerowie, w duchu, jaki przepisuje księga święta austryackiej wojskowości t. zw. *Dienstreglement*. A wiemy, niestety, jakie tam nieraz panują średniowieczne prądy! Jeśli się w naszego Maćka lub Kubę, a choćby Hrycia i Iwana wpoi pogardę dla wszystkiego, co nie nosi munduru, nic też dziwnego, że gdy przyjdzie do jakiejś okoliczności, puszcza on wodze swym instynktom w tem przekonaniu, że działa ściśle w myśl instrukcyi, której paragrafy z takim trudem wpakowano w jego mózgownicę.

Bezpośrednim przełożonym żołnierza policyjnego jest oficer, właściwy zaś przełożony, urzędnik policyjny, schodzi na drugi plan.

Żołnierz, patrolujący na ulicy, wytęża całą swoją uwagę, by przypadkiem nie przeoczyć przechodzącego obok oficera, rozkaz komendy fortecznej wyraźnie bowiem nakazuje żołnierzom, pełniącym służbę bezpieczeństwa, oddawać swym przełożonym przepisane honory.

Odstąpienie od tego, to karygodna *Subordinationsverletzung*...

Inna rzecz, że na tem cierpi sama służba bezpieczeństwa, gdyż żołnierz, wytrzeszczając oczy za oficerem, nie widzi nieraz tego, co go właściwie obchodzić powinno, a może też od czasu do czasu i nie chce widzieć!... Ot, weźmy na przykład wypadek, że nieszczęście chciało, (a jak wiadomo nie szczęścia chodzą po ludziach...), iż pan plutonowy od dragonów, nie zdając sobie sprawy ze szkodliwych skutków działania alkoholu, przebrał troszkę miarki i zaczyna na ulicy rej wodzić w ten sposób, jakby był na kasarnianym „hofie“.

Cywile się rozstępują, gdyż waleczny syn Marsa ma przy boku miecz i tem imponuje gawiedzi, ostatecznie ktoś zwraca na to uwagę stróża publicznego porządku, który na nieszczęście właśnie wtedy patrzy się w stronę wprost przeciwną i tam też kieruje swe kroki.

Interwencyi odmówić nie można, ale cóż?!... Dragon jest plutonowym, u pana z półksiężycem na kołnierzu nie dojrzysz gwiazdki nawet przez teleskop, choćby i nowszej konstrukcyi, niż w krakowskiem obserwatoryum, fundowanem jeszcze przez królowę Jadwigę..

Biedny żołnierz wie, że panu *führowi* winien jest na każdym kroku okazywać szacunek, ani mu więc nie może pomieścić się w głowie, by swego przełożonego w wojskowej hierarchii miał wziąć za kark i zaprowadzić na odwach.

Zbliża się więc z należytą rewerencyą i zaczyna pokojowe pertraktacye:

— Panie „fir“! Idźcie spać!...

Jeśli jest wytrawnym dyplomatą i potrafi przemówić do *Verstandu* pana dragona, który, nawiasem mówiąc, nie rozumie po polsku, tak, jak żołnierz policyjny znów po niemiecku, sprawa kończy się ugodowo, pan plutonowy uspokaja się i idzie w swoją drogę, a „władza“ w swoją, po chwili rozchodzą się i ciekawi, wezwani do tego energiczniej już:

— Panowie! Proszę się rozejść!...

Gorzej jednak, jeśli w wojowniczym synu Marsa obudzi się odziedziczony po przodkach animusz rycerski i rozpocznie walkę z przedstawicielem porządku publicznego. Wówczas, jeśli „cywile“ nie dopomogą żołnierzowi policyjnemu, dragon wychodzi jako tryumfator, bo znów on nie może pojąć w żaden sposób, jak jakieś rekruckie ucho śmie wyciągnąć dłoń ku tak wysokiej szarży i w myśl przepisów czynnie zaczyna bronić swej godności!

Albo zwróćmy uwagę na uzbrojenie żołnierzy policyjnych. Rynsztunek ich składa się z szabli dość wątpliwej wartości i karabinu z bagnetem, który tylko zawadza w czasie utarczki z jakimś awanturnikiem. Dobrze przynajmniej, że nasi domorośli bandyci używają nożów, a nie brauningów, zwycięstwo bowiem musiałoby im stanowczo przypaść w udziale. A dodać jeszcze trzeba dla ścisłości, że w owym karabinie niema naboju, nie ma go też i żołnierz, idąc na patrol.

Komenda oddziału zwracała się już, o ile wiem, do ministerstwa wojny z propozycyą, by żołnierzy policyjnych uzbrojono w rewolwery zamiast owych karabinów z minionego stulecia, odpowiedziano, że nie może się to stać ze względów zasadniczych, zarys bowiem organizacyjny straży wojskowo-policyjnej, zatwierdzony przez cesarzową Maryę Teresę, wyraźnie mówi o *gewehrach*, a nie jakichś tam rewolwerach.

Pomijam wreszcie tę okoliczność, iż z natury rzeczy straż wojskowo-policyjna musi brać udział w różnego rodzaju uroczystościach, więc: paradach, pogrzebach dostojników wojskowych i t. d. Konsygnuje ją się wówczas w wielkiej liczbie z widoczną szkodą dla służby bezpieczeństwa w samem mieście i gminach przyłączonych, które wogóle uważają za dzień świętalny, ilekroć umundurowany stróż bezpieczeństwa i porządku, czy to pieszy, czy konny, zapędzi się w ich strony...

Innemi mówiąc słowy, bez służby bezpieczeństwa się nie obejdziemy, ale powinniśmy ją mieć inaczej zorganizowaną, to jest nie straż wojskowo-policyjną, ale policyę cywilną, na wzór wiedeńskiej, podległą bezpośrednio Dyrekcyi policyi...

Kosztowałoby to, co prawda, więcej, ale opłaciłoby się sowicie, a co najważniejsze, uchroniłoby nas od tak przykrych wydarzeń, jak te, które miały miejsce we Lwowie.

Wiem jednak, że jest to tylko pobożne życzenie, z którego nie tak prędko coś będzie, u nas bowiem na tego rodzaju eksperymenty brak monety, a to dzięki bardzo racyonalnej i zupełnie postępowej gospodarce finansowej tak państwa, jak i kraju i gminy. Całkiem spokojnie mogą sobie podać przyjacielską rękę!

Najlepszą illustracyą tych stosunków to wypuszczenie w obieg nowych dwukoronówek, (na których czystego srebra jest podobno aż za siedmdziesiąt blizko halerzy) po to tylko, aby je zaraz zacząć wycofywać, gdyż modelator, p. Schwartz, zaopatrzył je swym podpisem, a to jest niedopuszczalne. Zamiast zrobić dobry interes, chyba rząd straci. To tylko ciekawe, gdzie miała oczy komisya, oglądająca model, bo chyba bez niej tam się nie obyło. Nie byłoby to po austryacku!

Wartoby tych panów wysłać na praktykę do Nagy Kanizsa na Węgrzech, gdzie odkryto niekoncesyonowaną fabrykę pieniędzy. Robił je organista Erhatic, ale ich potem z obiegu nie wycofywał, bo dokładnie oglądał projekt modelu, zanim go oddał do odlania.

Rząd położył jednak swą rękę i na tym wolnym przemyśle, a potem się jeszcze chwali, że dokłada wszelkich starań, o ile rozchodzi się o uprzemysłowienie kraju... Po prostu żyć się nie chce człowiekowi, taki go los garbaty prześladuje, daleko lepiej być obecnie jakim czworonogiem, choćby nawet psem, bo pominąwszy niezbyt dla nich przyjemny przymus kagańcowy, (a czyż i ludzie mu nie podlegają?...) stosunkowo wiedzie im się doskonale.

Niedawno dopiero zmarła gdzieś w Rosyi pani Leontjewowa, która uniwersalnym swym spadkobiercą uczyniła swego pieska. Odziedziczył po swej dobrodziejce okrągłe sto tysięcy rubli i jak donoszą telegramy pism codziennych, po uznaniu przez weterynarza zdrowym, wszedł zaraz w posiadanie i używanie spadku.

Jemu rzeczywiście zazdroszczę! Gdybym wiedział, że i ja znajdę niewiastę, którąby mi bodaj połowę tej kwoty zapisała, oświadczam gotowość poddania się również oględzinom weterynarskim. Musi to być w procedurze spadkowej bardzo ważny moment, skoro wszystkie bez wyjątku pisma podniosły go z takim naciskiem.

Nakoniec wspomnieć należy i o procesie Ronikiera, który ostatecznie skończył się nadspodziewanym wyrokiem ku wielkiemu zmartwieniu warszawskich pań. Miały one przez kilka tygodni gratisowe podniecenie nerwowe, nic też dziwnego, że potem bohaterowi chciały urządzić owacyę kwiatową, ale im w tem przeszkodzono.

Zgon głośnego wroga kobiet.

Literatura skandynawska straciła w tych dniach jednego z swych luminarzy — Augusta Strindberga, który obok Ibsena i Björnsona był jednym z pionierów modernizmu i wywarł w ostatnich 30 latach duży wpływ na literaturę całego świata. W licznych swych utworach, nowellach, powieściach i dramatach, z wielką siłą, ale także i bezwzględnością, przechodzącą niekiedy w cynizm, występował przeciw współczesnym pojęciom i stosunkom. Z dzieł jego największe wrażenie wywarła powieść „Czerwony pokój“, oraz cały szereg dramatów, jak „Mistrz Olof“, „Ojciec“, „Taniec śmierci“, „Upojenie“, „Tajemnica koteryi“, „Wielkanoc“, oraz cykl dramatów historycznych.

Urodzony w r. 1849, Strindberg w młodości swej musiał walczyć z trudnemi warunkami życia, co też przepoiło go niewątpliwie taką goryczą. Był z kolei nauczycielem, statystą teatralnym, urzędnikiem telegrafu, bibliotekarzem, dziennikarzem. Dopiero od r. 1882 poświęcił się wyłącznie literaturze.

I w rodzinnych stosunkach Strindberg nie zaznał szczęścia...

Kobieta odegrała w jego życiu bardzo smutną rolę. To też pisarz szwedzki był nieprzejednanym wrogiem kobiet — smagał je bezlitośnie, uważając kobietę za wampira, który wysysa krew mężczyzn... Wyraz tej nienawiści do rodzaju niewieściego dał w całym szeregu swych utworów, pełnych grozy lub zjadliwej satyry.

Walka z apaszami.

Po śmierci Bonnota dowództwo bandy apaszów paryskich objęli towarzysze jego Garnier i Vallet. Policya paryska, chcąc ostatecznie kres położyć bandytyzmowi paryskiemu, postanowiła bezwarunkowo wyśledzić i ująć wszystkich członków głośnej bandy automobilowych opryszków.

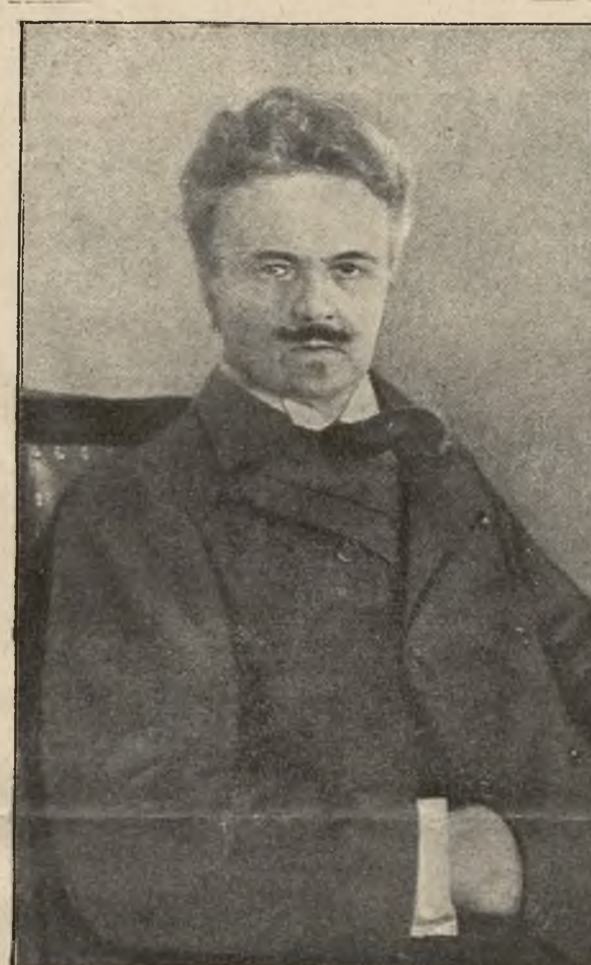


Włamywacze przy pracy: Rozbita przez włamywaczy kasa ogniotrwała Stow. krawców w Krakowie.

Po 14 dniach poszukiwań natrafiono wreszcie na ślad Garniera i Valleta. Policyi udało się wyśledzić „przyjaciółkę“ Garniera, niejaką Schoofs, którą otoczono pilnym nadzorem, spodziewając się, że w ten sposób uda się wyśledzić i Garniera. Istotnie, wykryto, iż oboje wynajęli sobie mieszkanie w środku Paryża przy Avenue Saint Guen, policya widziała raz nawet Garniera, opuszczającego w nocy ów dom, ale zdołał on jej się wtedy wyśliznąć.

Wkrótce potem obaj apasze udali się do banku kredytowego w Nogent sur Marne, aby wymienić papiery wartościowe. Tam ich poznano i zawiadomiono zaraz policyę paryską.

Na miejsce udał się szef policyi Guichard z oddziałem żandarmów i żuawów i stwierdził, że obaj apasze ukrywają się w małej willi, położonej w Nogent sur Marne. Kiedy policya dom otoczyła, bandyci byli w ogrodzie. Na widok grożącego im niebezpieczeństwa zabarykadowali się w willi i rozpoczęli zaciekłą strzelaninę do oblegających.



Zgon głośnego wroga kobiet: Zmarły pisarz szwedzki August Strindberg.

Przyszło do krwawej walki, która trwała do późnej nocy. Kiedy wszelkie usiłowania policyi i wojska, aby dotrzeć do wnętrza domu, pozostały bez skutku, postanowiono willę wysadzić w powietrze. W czasie przygotowań do ostatecznego ataku Garnier pozwolił opuścić dom swej „przyjaciółce“, która wraz z nim znajdowała się w willi.



Walka z apaszami: Zburzona wybuchem bomby ściana „fortecy“ paryskich bandytów Garniera i Valleta.

O godz. $\frac{1}{2}$9 wieczorem rzucono pierwszą bombę na willę, nie wyrządziła ona jednak wielkiej szkody. Następnie do godz. 3 w nocy rzucono jeszcze sześć bomb, które zburzyły częściowo kryjówkę bandytów. Ci bronili się zaciekle, a w końcu wśród gruzów urządzili sobie kryjówkę z poduszek i materaców, z za których strzelali.

Wreszcie o godz. 3. wybuchnął kilogram melinitu, z domu pozostały tylko szczątki, a policya i wojsko ruszyły do ataku. Ochronne barykady z materaców rozerwano, a wśród nich znaleziono nieżywego Garniera, przeszytego kilku kulami, a Valleta dogorywającego. O zaciętej obronie apaszów świadczy fakt, że policya i wojsko oddały 6000 strzałów, apasze zaś wystrzelili blizko 1000 nabojów.

Na miejsce walki przybyły tłumy publiczności z Paryża, które całą noc wytrwały, przyglądając się niezwykłemu widowisku.

Włamywacze przy pracy.

Galicya, na szczęście, nie może jeszcze za przykładem Francyi poszczycić się... bandytami automobilowymi, posiada jednakże świetnie uzdolnionych w swym fachu... włamywaczy. Jednym z nich jest niejaki Smólski, który po szeregu włamań odpocząwszy na Wiśniczu, w tych dniach zabrał się znowu do „pracy“ w lokalu Stowarzyszenia krawców przy ul. Stolarskiej w Krakowie. Przy pomocy najnowszych narzędzi z wielkiem „mistrzostwem“ rozbił kasę ogniotrwałą i zabrał z niej około 400 koron, ale, niestety, finał tego dzieła był dlań bardzo smutny: schwytano go w chwili, gdy uchodził z łupem i znów posłano na odpoczynek do więzienia.



Walka z apaszami: Wnętrze kryjówki paryskich bandytów automobilowych Garniera i Valleta.

Krajowy wiec szewców we Lwowie.

(Do illustracyi na str. 10).

Za staraniem instytutu technologicznego Izby handlowej i przemysłowej we Lwowie odbył się tam przed kilku dniami wielki wiec krajowy szewców. Na wiec przybyli przedstawiciele licznych stowarzyszeń przemysłowych szewców z wszystkich większych miast wschodniej Galicyi, przewodniczący państwowego Związku szewców z Wiednia, przedstawiciele władz, kilku posłów parlamentarnych i wielu szewców z całego kraju.

Zainteresowanie wiecem było dlatego wielkie, że szło o utworzenie krajowego Związku szewskich stowarzyszeń przemysłowych z siedzibą we Lwowie.

Wiecowi przewodniczyli pp. Władysław Karaban, Carnelli i Pletie. Zgromadzonych witali prez. miasta Neumann, prezes Izby handlowej Horowitz, dyrektor stow. rękodzielniczych Schirmer oraz posłowie Sliwiński, Hudec i Stesłowicz.

Na podstawie referatu instruktora ministeryum handlu Hoszowskiego uchwalono założyć krajowy Związek stowarzyszeń szewców. Omawiano także sprawę zawodowego szkolnictwa, kwestyę chałupnictwa w szewstwie, oraz szkód, jakie wyrządza szewcom konkurencyjna praca więźniów.

Przebieg wiecu był bardzo poważny. Po ukończeniu obrad zwiedzili uczestnicy odbywającą się w Instytucie technologicznym wystawę szewskich maszyn.

Illustracya nasza przedstawia grupę uczestników wiecu wraz z gośćmi.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 19.

Logogryf:

Z
M a k
S o e y n
H i s z p a n
J o w i a l s k i
H e n r y k a
B r o n a
D w a
a
D n o
R z e p a
M a n k i e t
C z o ł o
Z ł y
o

Zagadka przysłowiowa: Przyszła koza do woza.

Szarada: Ażur

Figielek: Biada temu domowi, gdzie krowa dobodzie wołowi.

Bilety wizytowe: Antykwarjusz. Majster kowalski Marszałek dworu

Łamigłówka:

T e r
K o m i n
L a s
K r u p y
O s a
K l i m a
G r a
K r e g i
O k a
K r a m y
E w a
K o k o u
M a k

Zadanie do przestawienia: Kogo Pan Bóg chce pokarać, temu rozum odbiera.

Zadanie do przestawienia: Goły rozboju się nie boi

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, J. Jakubowska Kraków, A Siatka Kraków, D. Sedyńska Zakopane, K. Radoszewski Tarnobrzeg, J Jasiewicz Lwów, H. Wąsowicz Tarnów, M. Kamocka Piotrków, W. Świrski Sandomierz, J Kwaśniewski Lwów, W. Bandrowski Kołomyja, L. Ostrowski Sanok, J Roland Prądnik Czerwony, H Łopatyńska Sambor, E Lisowski Kołomyja, S Ignatowicz Lwów, S. Balicki Jasło, K Gliński Kołomyja, S. Ossowski Krosno, A. Biliński Tarnów, M Więckowska Lwów, A Kalinowska Sanok, S Krzyżanowski Podgórze, S Karczmarski Poddębie, A. Kadulski Kraków, J. Gruber Kraków. J. Schulc Kraków, P. Madejski Opawa, H. Wincencik Kraków, J Gruszczyńska Podgórze, K. Habowska Zwierzyniec. S. Błaszczykiewicz Zakopane, M. Michałowski Lwów, A. Marcinkiewicz Rzeszów, J. Siegel Tarnów, I Brzostowski Kraków, J. Strojek Tarnopol, J. Tułecki Podgórze, A. Gralewski Kraków, S Kowalówka Kraków, Z. Łopatkiewicz Jasło, M. Kozicka Kraków, K. Kaim Radziszów, J. Janik Drohobycz, E. Lewicki Stanisławów, F. Blätterfeind Kołomyja, S. Lindenbaum Czerniowce, H. Krupiński Lwów, J. Owoc Warszawa, S. Karwowski Poznań, J. Ciesielski Poznań, C. Wang Tarnobrzeg, D Engelberg Rzeszów, J. Leszczyński Rozwadów, T. Nikiel Oświęcim. J. Trojacki Wiedeń, Z. Sperling Wiedeń, H. Piątek Podwołoczyska, A. Dużak Kraków, J. Jahoda Cieszyn, J Obraczay Morawska Ostrawa, S Singer Lwów, M. Kownacka Warszawa, S. Morawska Lwów, G Górecki Tarnobrzeg, J. Lasocki Stanisławów, M. Oszacka Lwów, H Wdówka Kraków, J. Baziak Lwów, M Olszewska Kraków, H Zegartowska Bogucice, L Korytowski Sanok, J. Wyka Lwów, S. Zachara Krosno, F. Nowacki Przemyśl, R Kozłowski Sambor. J. Feigenbaum Lwów, J. Misiewicz Lwów, J. Kopczyńska Bierzanów, R. Kinalski Zakopane, R. Toroń Kraków, W. Potocka Rzeszów, J. Wilczkiewicz Warszawa, S Wiewiórowski Lwów, M. Zagórska Kalisz, H. Tyszecka Warszawa, R. Domański Lwów, A. Gołębiowska Warszawa, J. Cichocki Płock, A. Galiński Sambor, J Antosz Bochnia, M. Pokorska Lwów, J. Jaglarz Radomyśl, H Broda Rzeszów, M. Wójtowicz Bochnia, K. Lorenz Sanok, J Trepka Sandomierz, E Niestenberger Kraków, T. Mazaraki Radom, L. Niemczycki Stanisławów, H Kaniewski Kraków, I. Zeryginwicz Stanisławów. S Bukowski Kijów, H Maciejowski Sambor, T. Berger Lwów, J Kotowicz Tarnopol, R. Patlewicz Katowice, D. Medyński Zakopane. H Scholz Kraków, R Sauer Sandomierz, K. Dębiński Jasło, J. Jaworski Zakopane, H. Sosnowski Kijów. E. Domański Lwów, E Stankiewicz Warszawa, M. Klappholz Rzeszów, D. Schwadron Stanisławów, S. Szymanowski Jaworów, S. Dzikowska Sandomierz, H. Srokowska Zamość, J. Pick Warszawa, J. Solecka Zakopane, A. Zawada Rzeszów, J. Linderska Lwów, W. Łapiński Lwów, J. Radwan Warszawa, R Wacławik Gdańsk, J. Better Lwów, L. Bogacki Piotrków, M Wilkosz Kraków. D. Michalski Sosnowiec, J. Szyszkowski Lwów, W. Lech Kraków, D. Fink Przemyśl. J. Krawecki Drohobycz. K. Nowak Podgórze, L. Radomski Lwów, J. Chmurowicz Kraków, K. Rylski Poznań, J Roth Kołomyja, E Osada Piotrków, S. Wojczyński Lwów, K. Bartoszewski Warszawa. R. Bernatowicz Sandomierz, F. Schmidt Kraków, R. Garczyński Lwów, A. Sługocka Kraków.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **J. Antosz, Bochnia.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Z półek księgarskich.

„Lotnik i Automobilista“ w N-rze 7, który w tych dniach pojawił się za miesiąc maj, poświęca wstępny artykuł wystawie sportowo-przemysłowej w Warszawie. Obszerne sprawozdanie, bogato illustrowane daje inż. Stefan Haberkant o wystawie „Ala“ w Berlinie. Interesującemi próbami rzucania pocisków z płatowców zajmuje się pismo w dwóch artykułach. W dziedzinę sportową wkraczają artykuły o konkursach wodnych płatowców i łodzi motorowych w Monte Carlo. Wprowadzony niedawno specyalny dział „Wszechsport“ obejmuje szereg interesujących artykulików z zakresu rozmaitych sportów, oraz obfitą kronikę sportową, objaśnioną licznemi pięknemi illustracyami.

Na podstawie uchwały walnego zgromadzenia „Towarzystwa miłośników języka oiczystego“ wskrzeszono po dłuższej przerwie wydawnictwo miesięcznika „Zachęta“. Celem jego: przestrzeganie czystości i poprawności naszego przepięknego języka; wykazywanie błędów językowych tak w mowie potocznej, jak i w pismach, szczególnie codziennych, w których przy gorączkowej, nerwowej pracy, niestety zbyt mało uważa się na poprawność języka; usuwanie wyrazów obcych, które każą nasz język, a które łatwo zastąpić wyrazami swojskimi, wreszcie zwracanie uwagi czytujących na prawidła gramatyki.

Adres Towarzystwa, Redakcyi i Administracyi: Lwów, plac Strzelecki L. 6. Prenumerata roczna z przesyłką pocztową 1 K 20 hal.

4850 dywaników welurowych (rodzaj pluszu) po K 3·50 za sztukę. Bezprzykładne zdarzenie co do taniości i produktywności. — Zaraz wyciąć i przesłać! Począwszy od jutra, dopóki zapas starczy, wysyłam każdemu, kto mi nadeśle to ogłoszenie, prawdziwe welurowe dywaniki przed łóżka, z twardym grzbietem, wielkość około 60×115 cm, po cenie propagandowej po K 3·50 za sztukę. Następnie sprzedaję aż do odwołania niniejszego po cenach reklamowych: Firanki z materyi lnianej, niefarbowane, z modnym haftem, dwa skrzydła 40×300 cm. i z osobną draperyą 40×150 cm. po K 8· za kompletne okno. Firanki sukienne bordo lub oliwkowe, również dwa skrzydła z osobną draperyą po 10 K za kompletne okno. Koronkowe firanki po K 1·18 za skrzydło. Perskie narzutki na otomany i sofy, 300 cm. długie, po K 7·— za sztukę, odpowiednie do nich serwety 150×150 cm. po K 3·—, kapy 150×200 cm. po K 4·—. Modne narzutki na sofy i kanapy bordo i oliwkowe po K 5·80, modne serwety o barwach pastelowych po K 2·40, kapy na łóżka po K 3·20 za sztukę, modne kapy na łóżka. podwójne, po K 9·80 za sztukę, jednakie na obie strony dywany ścienne, imitacya smyrneńskich, z pięknemi figurami zwierząt, 100×200 cm, po K 6·50 za sztukę. Ciepłe, miękkie kocyki do przykrywania, z pięknym szlakiem, 124 cm. szer. i 200 cm długie, po K 1·90 za sztukę. Gwarantowane, nie tracące barwy, miękkie dywaniki do łazienek i przed umywalnie, 90×130 cm., po K 5·90, 90×190 cm. po K 8·50 za sztukę.

Jako fabrykant nie mam żadnego ryzyka, gdyż sprzedaję sam jako producent, bez żadnych pośredników, wyroby moje wprost prywatnym odbiorcom tylko za zaliczką lub za gotówkę. Z tego powodu mogę dawać towar mój po tak bajecznie niskich cenach. **Dom dywanów — Dom mebli, S. Schein, c. i k. dostawca nadworny i kameralny w Wiedniu I., Bauernmarkt 14.** Kto przynajmniej za 10 K zamówi u mnie towarów, może także otrzymać na zamówienie 2 kocyki wiosenne, 130 cm. szerokie a 200 cm. długie, po reklamowej cenie 1 K za sztukę.

Głosy publiczne.

Wyścigi konne w Krakowie. W dniu 5 maja odbyło się posiedzenie komitetu Towarzystwa międzynarodowych wyścigów konnych oraz Galicyjskiego Klubu Jazdy Panów w Krakowie pod przewodnictwem prezesa J. E Romana hr. Potockiego przy licznym współudziale członków komitetu Po przyjęciu sprawozdania na rok ubiegły, uchwalono budżet na rok bieżący, w którym uwzględniono wiele korzystnych zmian — zmierzających do udogodnienia i uprzyjemnienia pobytu publiczności na placu wyścigowym. Dla tegorocznych trzechdniowych wyścigów Towarzystwa międzynarodowego, oraz dwudniowych Galicyjskiego Klubu Jazdy Panów uchwalono następujące terminy:

I. dzień niedziela 23 czerwca Towarz. międzynarod.
II. dzień wtorek 25 czerwca Galic. Klub J. Panów.
III. dzień czwartek 27 czerwca Tow. międzynarod.
IV. dzień sobota 29 czerwca Galic. Klub J. Panów.
V. dzień niedziela 30 czerwca Galic Klub J. Panów.

Zaznaczyć należy, że nie tylko podczas meetingu Galicyjskiego Klubu Jazdy Panów, ale także podczas meetingu międzynarodowego odbędzie się kilka bardzo zajmujących biegów myśliwskich.

Z „CYRKU EDISON“ Najnowszy program przynosi z dniem 24 b. m. niezwykle sensacyjny program. Atrakcyą będą dwa wspaniałe dramaty: „Zemsta mafii“ i Żona przemytnika“

Aktualny jak zawsze „Żurnal Pathego“ oprócz zdjęć najważniejszych wypadków z całego świata poda dalsze szczegóły krwawej walki z bandą Bonnota w Paryżu, oraz okazały pogrzeb zamordowanego przy tej sposobności vice-szefa policyi Jouina

Programu dopełni niedościgniony obraz „Katastrofa Titanica“ stronę humorystyczną reprezentować będzie „Tryumf miłości“ i „Wątpliwe świadectwo“.

Wkońcu niemniejszą atrakcyą będą oryginalne zdjęcia z natury „Wycieczka do Bonifacyo“, oraz wyrób beczek w Burgundyi.

Zarazem donosi Dyrekcya „Cyrku Edison“, że w niedzielę i poniedziałek, z okazyi świąt odbędą się po dwa przedstawienia, o godzinie 4-tej i 8-mej wieczór.

Międzynarodowe Towarzystwo muzyków, pieśniarzy i humorystów, organizuje G. Manasterski były dyrektor teatru ludowego we Lwowie a obecnie nauczyciel muzyki w Przemyślu. Towarzystwo to będzie urządzało wieczorki koncertowe począwszy od 29 czerwca po wszystkich miejscowościach kąpielowych, a od jesieni i po innych miastach Galicyi a następnie uda się w podróż do Czech i Królestwa Polskiego Tendencyą towarzystwa będzie: łagodzić wrogie usposobienie pobratymczych narodów Polaków i Rusinów, do którego to celu dążyć będzie przez urządzanie wieczorów koncertowych złożonych z utworów narodowych w swojskich kostyumach, a po każdem przedstawieniu odbędzie się ogólna zabawa taneczna. Młodzi artyści zawodowi i amatorzy obojga płci, chcący brać udział w powyższych koncertach, mogą się zgłaszać pisemnie do kierownictwa przy ul. Grunwaldzkiej L 15 w Przemyślu.

Z półek księgarskich.

Nakładem ruchliwej firmy wydawniczej *Wilhelma Zukerkandla w Złoczowie* opuściła prasę drukarską nowa serya tomików **Biblioteki powszechnej.** Wydawnictwo to, przyczyniające się w wysokiej mierze do spopularyzowania arcydzieł literatury powszechnej, zasługuje na najgorętsze poparcie, zwłaszcza, że bardzo przystępna cena (24 halerze za pojedynczy tomik) pozwala każdemu, nawet nie rozporządzającemu większymi funduszami, na założenie biblioteczki domowej.

Opuściły prasę:

Nr. 871-874. **Charakterystyki literackie pisarzy polskich.** Marya Konopnicka przez A. Mazanowskiego

Nr 875-876. *Björnstjerne Björnson:* **Nowy system.** Sztuka w pięciu aktach Spolszczył Jan Śliwoń.

Nr. 877-879 *Knut Hamsun:* **Pan.** Z pamiętników porucznika Tomasza Glawa Tłumaczył M. Szukiewicz.

Nr. 880 *Mikołaj Gogol:* **Swaty.** Zgoła nieprawda podobna historya w 2 aktach, trzech odsłonach. Przekład J. Cz. Babickiego

Nr. 881-883 *Szekspir:* **Koryolan.** Przekład J. Paszkowskiego.

Nr. 884-885. *Alfons Daudet:* **Tartarin z Taraskonu.** Przełożył W. Kłosowski

Nr. 886-890 *Stanisław Graybner:* **Półpanek.** Powieść.

Nr. 891-895. *Henryk hr. Rzewuski;* **Zaporożec.** Tom I.

Nr. 896-900. *Henryk hr. Rzewuski:* **Zaporożec.** Tom II

Nowy wynalazek

Po długich próbach i myśleniu udało mi się wynaleść motor, który może w krótkim czasie znaleść ogromne zastosowanie w całym świecie. Motor jest z centralną śrubą zamachową i może być użytym w każdym przedsiębiorstwie. Popęd motoru nic nie kosztuje, gdyż nie potrzeba do niego ani ognia, ani wody, ani żadnych płynów palnych Dlatego zwracam się do Szan P. T. Publiczności, w szczególności do tych, którzy mają możność zająć się budową nowych motorów, niechaj skorzystają z rzadkiej sposobności. — Bliższych wiadomości udzieli redakcya „Nowości illustrowanych“. Zgłoszenia pod „Ta. Sa.“

Ze świata kobiecego.



Kostyum letni z lekkiej wełny w paseczki.



Kapelusz dzieinny z jasno-żółtej słomki, podbity białym jedwabiem



Kostyum letni z niebieskiej tafty.



Suknia letnia z płótna w dwu barwach, ozdobiona koronką.

Kilka uwag na czasie.

Jak przepowiedziałam w poprzednim artykuliku zaledwie rozpoczęły się gorące dni letnie, w dziedzinie mody nastąpiła znowu zmiana. Tafta jako materyał na suknie okazała się droga i niepraktyczna, to też do walki z nią wystąpiły, coraz skuteczniej, *materye płócienne*. Zarówno w Wiedniu jak i w Paryżu, gdzie spodziewają się upalnego lata, przygotowano już stosy płócien w najrozmaitszych kolorach. Najbardziej jednak uznanymi są na lato trzy kolory: szaro-bronzowy, jasno bronzowy i mleczno-biały. Zasada jednobarwności sukni została o tyle zachowana, że płótna te choć są pokryte jakimś deseniem, mają silnie występujący ton zasadniczy.

Zmiana co do zapatrywań na dobór kolorów w modach letnich nastąpiła w ostatnich dwóch tygodniach, a przyczyniły się do tego w pewnej mierze i same panie, gdyż nadużywały na wiosnę zestawień barw dosyć ryzykownie i ci, którzy mody tworzą, woleli powrócić do sukien jednobarwnych, niż pozwalać na papugowatość.

Postawiono więc zasadę, że zarówno bucik, jak pończocha i rękawiczka muszą harmonizować z kolorem sukni. Co do bucików, to obecna moda, pozwalająca odsłonić nóżkę dosyć wysoko, uczyniła z bucika, eleganckiego i zgrabnego, swego ulubieńca. Szewcy wysilają też swój dowcip w tym kierunku, aby tworzyć prawdziwe arcydzieła. Robi je się w ten sposób, że część sporządza się z płótna lub jedwabiu, a część ze skóry. Podczas gdy bucik sam zrobiony jest ze skóry, cholewka jego zrobiona jest z płótna w kolorze odpowiadającym sukni i obłożona skórą.

Najmodniejszym jest biały bucik skórzany, z przodu szeroko wycięty i zasznurowany białą szeroką wstążką jedwabną. Następne miejsce zajmują buciki damskie z jasnej skóry, u których przód ozdobiony jest czerwonym haftem *a jour*. Buciki te zapina się na czerwone guziki.

Pończochy, ma się rozumieć o ile możności w kolorze sukni, zyskały obok dawnych ozdób *a jour*, jeszcze jedną, mianowicie koronki. Paryskie elegantki probują w ten sposób odświeżyć tę część damskiej garderoby.

Ze zmniejszeniem się kapeluszy zmniejszyła się także i długość szpilek do nich używanych. Przeciwnicy ich głoszą nawet, iż w najbliższej przyszłości panie wogóle zarzucą używanie szpilek. Znalazła się bowiem wynalazczyni, która opatentowała już nowy sposób przypinania kapeluszy do fryzur damskich. Pani Ruth Goetz wynalazła kółko aluminiowe, które umieszcza się wewnątrz główki kapelusza, a które posiada cztery przyszpilacze z aluminiowego drutu. Zapomocą bardzo prostego mechanizmu wsuwa się te przyszpilacze w fryzurę i kapelusz jest umocowany. Wynalazek jak dotychczas zbadano, ma tę zaletę, że nie psuje fryzury, a zarazem trzyma na głowie kapelusz znacznie mocniej, bo aż z czterech stron.

Jeśli mówię już o kapeluszach, wspomnę jeszcze kilka słów o fryzurach. Wiemy dobrze o tem, że dobrze dobrana do twarzy fryzura podnosi znacznie piękność kobiety. Z drugiej zaś strony z doświadczenia mogę stwierdzić, że kobiety bardzo łatwo zapalają się do jakiejś fryzury tylko dlatego, że jest „modna". Przy wyborze fryzury zwracać należy baczną uwagę na to, że do twarzy o wybitnych, regularnych rysach nadają się tylko fryzury proste. Twarzyczki drobne natomiast, t. zw. „cyganiątka", daleko lepiej wyglądają w fryzurze ozdobnej i puszystej. Obecne „modne" fryzury pozwalają na zadowolenie wymagań jednych i drugich. Dla pierwszych polecam uczesanie zrobione w ten sposób, że włosy z przodu rozdzielone w łagodnych falach spływają, pokrywając uszy, ku tyłowi głowy, gdzie tworzą duży węzeł. Dla drugich zaś bardzo dobrą jest fryzura, gdzie włosy rozdzielone na dwie części nad uszami tworzą duże pukle, obwiedzione dookoła albo warkoczem albo też lekko tapirowanem pasmem włosów. Fryzura ta jest łatwa i mocna, a ozdobę jej stanowić mogą dwie duże szyldkretowe szpilki, z przodu wpięte.

W.

JACQUES FUTRELLE.

Zadziwiająca kobieta.

Tłum. z angielskiego.

6

— Zamek od wewnętrznej skrytki jest złamany — zauważył.

— Tak, panie — odparł dyplomata. — Widocznie złodzieje nie zadowolnili się pięćdziesięciu tysiącami dolarów i przypuszczali, że tam także jest coś wartościowego.

— A czy tam co było? — zapytał naiwnie Mr. Grimm. Mówiąc to, nie oglądał się.

— Jedynie ważne papiery państwowe, które po zostawiono. Pieniędzy tam nie było.

— Żaden z tych papierów nie został skradziony?

— Nie, panie. Było tam dziewięć pakietów i wszystkie są na miejscu.

— A zawartość tych pakietów w porządku?

— Tak. Przeglądałem je.

Mr. Grimm wyciągnął ze skrytki pakiety. Wszystkie były niezapieczętowane, prócz jednego. Gdy sięgał po ten ostatni, Senor Rodriguez machinalnie wyciągnął rękę.

— Ten jeden jest zapieczętowany — rzekł młody człowiek. — Czy pan go otwierał teraz i zapieczętował napowrót?

Ambasador patrzył nań przez chwilę bez myśli, poczem nagłe podejrzenie odmalowało się w jego wzroku i gwałtownie sięgnął po pakiet.

— *Dios mio!* — wykrzyknął. — Proszę mi pozwolić, Senor, zobaczę.

— Chce pan otworzyć? — zapytał Mr. Grimm.

— Tak, Senor. Nie myślałem o tem przedtem.

Mr. Grimm wstał, podszedł do okna, gdzie światło było lepsze i zbadał starannie pieczęcie pakietu. Były tam trzy wielkie pieczęcie ambasady. Pozatem koperta nie miała żadnych specyalnych znaków. Obracał ją przez chwilę w rękach, przyglądając się ciekawie pieczęciom, poczem oddał ją dyplomacie, który wyraźnie niecierpliwił się.

Senor Rodriguez otworzył kopertę nerwowym ruchem palców. Mr. Grimm odwrócił się znowu, słyszał jednak szelest pergaminu, a później westchnienie ulgi. Uspokoiwszy swe obawy co do cennego dokumentu, dyplomata włożył go do innej koperty i zapieczętował ze specyalną starannością. Mr. Grimm podszedł do biurka.

— Senor — zapytał uprzejmie, — czy pańska córka i Miss Thorne były wczoraj popołudniu w tym pokoju?

— Tak — odparł dyplomata, jakby zdziwiony tem pytaniem.

— O której godzinie?

— Około godziny trzeciej, poczem pojechały na spacer. Czemu pan o to pyta?

— A gdzie znalazł pan chusteczkę? — ciągnął dalej Mr. Grimm.

— Chusteczkę? — powtórzył dyplomata. — Czy pan myśli o chusteczce Miss Thorne? — Zatrzymał się i spojrzał bystro na Mr. Grimma. — Co mam rozumieć przez to pytanie, Senor?

— Ono jest dosyć proste — odparł Mr. Grimm. — Gdzie pan znalazł chusteczkę?

Przez chwilę trwała cisza.

— Czy w tym pokoju? — nalegał grzecznie ajent.

— Tak — odpowiedział w końcu ambasador.

— Czy blisko kasy? — dopytywał Mr. Grimm.

— Tak, właśnie tutaj — i dyplomata wskazał miejsce z lewej strony kasy.

— A kiedy pan ją znalazł? Wczoraj popołudniu, wieczorem, czy dzisiaj rano?

— Dzisiaj rano — odpowiedział z pozornym spokojem Senor Rodriguez, lecz twarz jego pokryła się śmiertelną bladością. — Ależ, Senor! Senor! to niemożliwe! Pan się myli! Kobieta, dwieście funtów złota! Senor!

Mr. Grimm patrzył spokojnie swemi obojętnemi oczyma na dyplomatę.

— Jeżeliby chusteczka leżała przy kasie wieczorem, czyby pan jej nie zauważył, wkładając złoto do kasy?

Ambasador patrzył długo na młodego człowieka.

— Nie wiem — odparł wreszcie, opadając ciężko na krzesło i ukrywając twarz w dłoniach.

— Senor — zaczął po chwili — jeżeli to złoto nie odnajdzie się, jestem zgubiony. Sprawa jest tego rodzaju, że nie będę mógł nawet wytłumaczyć się przed swym rządem.

Wstał gwałtownie, patrząc z rozpaczliwą determinacyą w obojętną twarz Mr. Grimma.

— Senor musi mi znaleźć to złoto!

— Czy bez względu na to, kto przytem ucierpi? — zapytał ajent.

— Znajdź mi złoto, Senor!

— Dobrze — rzekł Mr. Grimm, nie poruszając się. — Proszę mi dostarczyć chusteczkę, którą pan tu znalazł, a potem proszę mi przysłać swego sekretarza i służbę, po kolei. Wybadam każdego na osobności. Proszę się nie niepokoić, jeżeli nie wiedzą nic o złodziejstwie, to odemnie nie dowiedzą się. A teraz proszę włożyć ten pakiet zapieczętowany do kasy i zamknąć ją.

Ambasador, nie mówiąc ani słowa, uczynił, co od niego żądano i wyszedł z pokoju. Po chwili zjawił się Senor Diaz. Rozmawiał z Mr. Grimmem równo ośm minut. Po wyjściu sekretarza wszedł ambasador i położył na biurku koronkową chusteczkę. Mr. Grimm zaczął przyglądać się jej z ciekawością.

— Czy to ta sama chusteczka?

— Tak, panie.

— Czy niema żadnej wątpliwości pod tym względem?

— Nie, Senor, przecież miałem ją u siebie.

— Dobrze — odparł Mr. Grimm. — A teraz proszę przysłać tu służących. Mężczyzn najpierw.

Pierwszy ze służących był w pokoju przez dwie minuty, drugi pięć minut. Jedna z kobiet wcale nie była badana, drugą przesłuchiwał przez dziesięć minut.

Mr. Grimm wyszedł do hali, gdzie oczekiwał nań ambasador z niecierpliwością.

— No i cóż? — zapytał.

— Wychodzę na chwilę — odrzekł spokojnie ajent. — Nikt z nich nie wie o tej całej sprawie. Proszę nie zdradzić się z tem, dopóki nie powrócę.

I Mr. Grimm wyszedł.

Po jakiejś godzinie wrócił, udał się wprost do prywatnego gabinetu dyplomaty, usiadł przed kasą i postawił strzałkę na cyfrze 36. Senor Rodriguez patrzył ze zdumieniem, jak młody człowiek przyłożył gumową słuchawkę stetoskopu do drzwi kasy i bardzo powoli przesuwał wskazówkę wstecz. Po jakimś czasie, usłyszawszy trzask zamku, wstał, pokręcił klamką i otworzył drzwi kasy.

— Oto, jak to było zrobione — powiedział do zdumionego dyplomaty. — Teraz proszę kazać jakiemu służącemu wręczyć moją kartę Miss Thorne.

ROZDZIAŁ XI.

Koronkowa chusteczka.

W tej samej wdzięcznej porannej toalecie ze szkarłatną różą we włosach, Miss Thorne weszła do salonu, gdzie już czekał na nią Mr. Grimm. Zachowanie jej zdradzało ukryte zaciekawienie, ale na ustach gościł stały jej, nieco drwiący uśmiech. Mr. Grimm skłonił się głęboko młodej kobiecie, podał jej krzesło i przez chwilę stał, przypatrując się jej wąskiej, białej ręce, opartej na poręczy. Wreszcie usiadł.

— Myślę — rzekł powoli bez wstępu — że to jest pani chusteczka?

Mówiąc to, podał jej koronkową chusteczkę, nadzwyczajnie oryginalną, którą na pierwszy rzut oka można było poznać, jako wyrób zagraniczny.

— To jest ta sama, którą wręczył pani niedawno Senor Rodriguez — ciągnął ajent. — O ile pamiętam, wspominała pani, że zostawiła ją wczoraj popołudniu w jego gabinecie.

— Tak — odparła Miss Thorne zdziwiona.

— Może będzie dla pani interesującym fakt, iż kamerdyner twierdzi, że taką samą chusteczkę podawał pani wczoraj wieczorem dwukrotnie między godziną siódmą i dziewiątą — rzekł spokojnie Mr. Grimm.

— Rzeczywiście.

— Senor zaś twierdzi, że znalazł ją dziś rano w swoim gabinecie. Podczas nocy zaś skradziono z jego kasy pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Wyraz twarzy Miss Thorne nie zmienił się ani na jotę, oczy jej utkwione były w młodym człowieku pytająco, a usta rozchylał zaledwie dostrzegalny uśmiech.

— Drzwi kasy nie wyłamano, otworzono je kluczem. Jest to kasa starego systemu; przed chwilą pokazałem, jak można ją otworzyć przy pomocy stetoskopu, nadsłuchując dźwięk zamku. Osoba, obdarzona doskonałym słuchem, mogłaby uczynić to bez słuchawki.

Miss Thorne siedziała bez ruchu, czekając.

— Do czego pan zmierza, mówiąc mi to wszystko? — zapytała wkońcu.

— Muszę prosić panią o zwrot tych pieniędzy — rzekł uprzejmie Mr. Grimm. — Nie widzę racyi, dla której wzięła je pani, ale nie szukam jej, zarówno jak nie mam zamiaru ogłaszać tego faktu publicznie, żądam jedynie zwrotu pięćdziesięciu tysięcy dolarów w złocie, zabranych z kasy.

— Zdaje mi się, że pan za wiele wagi przywiązuje do chusteczki.

— Jednakże nie mylę się co do roli, jaką tu odegrała. Byłoby bezcelowem, jak również nieprzyjemnem wszczynać śledztwo dla wykrycia sposobu kradzieży wobec trudności dostania się do gabinetu, ciężaru złota, genialnego pomysłu otworzenia kasy oraz okoliczności, że najwyżej sześć osób wiedziało o tem, iż pieniądze znajdują się w kasie. Co do chusteczki zaś, jest jedyna w swoim rodzaju. Pewien znawca powiedział mi, iż prawie niepodobieństwem jest, żeby istniała taka druga...

Mr. Grimm zatrzymał się. Twarz Miss Thorne ożywiła się, w kątach ust ukazał się uśmiech. Rozłożyła chusteczkę na kolanach.

— Oczywiście, pan ciągle twierdzi, że to ta sama? — zapytała.

— Tak.

Złożyła starannie chusteczkę i ukryła ją w dłoniach, poczem otworzyła je — trzymała w rękach dwie identycznie podobne do siebie chusteczki.

— Która z nich była w gabinecie Senora Rodrigueza? — zapytała.

Mr. Gimm zdziwił się, ale nie okazał tego. Młoda kobieta roześmiała się radośnie, spojrzała na ajenta z szyderstwem, poczem zapytała dosyć sztywnie:

— Daruje pan, ale twierdzenia pana co do chusteczki są absurdem. Tą, którą mi podał kamerdyner wieczorem — może być jedna z tych dwu, lub też z dziesięciu, najzupełniej podobnych, które znajdują się w moim pokoju, a które dostałam w prezencie od król..., od jednej z moich przyjaciółek w Europie — poprawiła się szybko.

Po chwilowem milczeniu dodała:

— To jest wszystko.

— Nie — odpowiedział Mr. Grimm poważnie. To mnie nie zadawalnia. Muszę jeszcze raz poprosić panią o zwrot pieniędzy. Jeżeli pani tego nie

uczyni, zwrócę się do włoskiego ambasadora, hrabiego di Rossini — i uprzedzam panią, że raczej otrzymam od niego czek na tę sumę, niż rozgłoszę tę sprawę.

Miss Thorne patrzyła nań, nie spuszczając oczu.

— Prócz tego, w razie odmowy, będzie pani zmuszona opuścić Stany Zjednoczone.

Twarz młodej kobiety zmieniła się, z ust znikł uśmiech, policzki pociemniały, we wzroku można było wyczytać niepewność.

— A jeżeli jestem niewinna? — zaprotestowała.

— Musiałaby pani tego dowieść — odrzekł Mr. Grimm bez litości. — Osobiście jestem najzupełniej przekonany o pani winie. A hrabia di Rossini tak upewniał mnie, że...

— To jest niesprawiedliwe — przerwała mu namiętnie — przecież pan niczego nie dowiódł, to jest... to jest niesłychane... to jest...!

Umilkła raptownie. Przeszła minuta, dwie, trzy... Mr. Grimm cierpliwie czekał.

— Czy pan mi da czas i możność dowiedzenia panu, że jestem niewinna? Jeżeli przekonam pana?

— Będę zmuszony przyznać, że popełniłem omyłkę — odrzekł Mr. Grimm. Ile czasu potrzebuje pani? Dzień? Dwa?

— Dam panu znać za jąką godzinę, do pańskiego biura.

Młody człowiek wstał.

— Tymczasem, na wszelki wypadek, postaram się zobaczyć z hrabią di Rossini. Żegnam panią.

W godzinę i dziesięć minut Mr. Grimm otrzymał kartkę bez podpisu:

„Zamknięty powóz będzie czekał na pana na południowo-zachodnim rogu Pensylwania-Avenue i Fourteenth-Street dziś o pierwszej po północy".

Ajent stawił się o oznaczonej godzinie — i wsiadłszy do powozu, zastał tam tajemniczą kobietę. Powóz ruszył bez hałasu po Pensylwania-Avenue.

— Teraz, gdy złoto doręczone będzie panu za godzinę — zapytała z troską, czy potrzeba, żeby pan wiedział, kto jest złodziejem?

— Muszę to wiedzieć — odpowiedział bez wahania Grimm.

— Nawet, gdyby to zepsuło czyjeś dobre imię?

— Tajna policya rzadko psuje komu reputacyę, Miss Thorne, chociaż powinna być zawsze na to przygotowana. Zaręczam jednak pani, że w tym wypadku nie będzie ani aresztowania, ani nawet śledztwa. Mamy po temu powody, które wydają się nam wystarczającymi.

— Więc nikt o tem nie będzie wiedział! — rzekła z widoczną ulgą. Czy nazwisko tej osoby nigdy nie wyjdzie na jaw?

— Będzie to przechowane w archiwach naszego biura, stamtąd nie wyjdzie — przynajmniej teraz.

Miss Thorne siedziała przez chwilę w milczeniu.

— Zgadza się pan, Mr. Grimm, że postawił mnie pan w oryginalnem położeniu? Pan zdawał się być przykonanym o mojej winie, i to, daruje pan — bezpodstawnie. Później zmusił mnie pan, żebym dowiodła swej niewinności. Jedynym sposobem, było wykrycie prawdziwego winowajcy. Uczyniłam to, ale sprawia mi to niesłychaną przykrość, gdyż kryje się w tem mała tragedya.

Mr. Grimm czekał.

— Istnieje pewna panna w wyższej dyplomatycznej sferze. Ojciec tej panny zajmuje wysokie stanowisko, fortuny jednak nie posiada. Córka namiętnie grywa w bridge'a, a stawki są wysokie. Przez długi czas sprzyjało jej szczęście, tak iż wygrała około ośmiu tysięcy dolarów. Wtedy szczęście się odwróciło — zaczęła przegrywać, straciła całą wygraną, własne pieniądze, zastawiła klejnoty rodzinne — bez wiedzy ojca oczywiście, uzyskaną w taki sposób kwotę również przegrała — wreszcie pewnego dnia spostrzegła się, że ma około dziesięciu tysięcy dolarów długów bridge'owych. Trzeba było je spłacić natychmiast, co groziło ruiną.

Kobiety skłonne są do dziwnych postępków, żeby uniknąć takich wypadków. Wszystko to jest prawdą, ta panna sama mi to opowiedziała. Jakimś sposobem, z nieuważnie rzuconego listu, lub podsłuchanej rozmowy dowiedziała się, że w kasie ambasady na przeciąg pewnej nocy miano złożyć pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Młoda kobieta zatrzymała się na chwilę.

— Oto jest adres pewnego Tomasza Q. Griswold w Baltimoore — rzekła, podając kartkę Mr. Grimmowi, który siedział bez ruchu, przysłuchując się opowiadaniu.

— Przed czterema laty sposób otwierania kasy w ambasadzie był zmieniony. Ten człowiek właśnie był przysyłany do dokonania zmiany i on jeden, oprócz senora Rodrigueza, zna sekret. Skomunikowałam się z nim dzisiaj i dowiedziałam się, że ta panna istotnie była u niego i udało się jej wydostać tajemnicę zamku.

Mr. Grimm odetchnął głęboko.

— Zamierzała prawdopodobnie wziąć z kasy tyle, ile jej było potrzeba — ciągnęła Miss Thorne. — Ale ujrzawszy taką masę złota, nie mogła się oprzeć pokusie i wzięła wszystko... Jesteśmy na miejscu, Mr. Grimm.

Niejedno pytanie cisnęło się na usta ajenta, ale powstrzymał się, wyskoczył z powozu i pomógł wysiąść swej towarzyszce.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Kwadrat magiczny.

Ułożył W. Zachwatowicz, Lwów.

Kwadraty i kreski zastąp'ć literami. Litery, wstawione w miejsce kwadratów, podadzą nam kwestyę, o której obecnie wiele się mówi i pisze.

□
— □ —
— — □ — —
— — — □ — — —
— — — — □ — — — —
— — — — — □ — — — — —
□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
— — — — — □ — — — — —
— — — — □ — — — —
— — — □ — — —
— — □ — —
— □ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2 Dopływ Wisły. 3 Kraj w Azyi. 4 Miasto we Włoszech. 5 Nowy pomysł. 6 Oszustwo przy opłacie cła. 7. Szukany wyraz. 8. Miasto w Afryce 9. Inaczej sprawozdawca. 10. Część garderoby. 11. Termin używany w matematyce. 12. Owad. 13. Spółgłoska.

Łamigłówka literacka.

Ułożył W. Zachwatowicz, Lwów.

Z podanych wyrazów wyjąć, idąc dwa razy z góry na dół, po jednej głosce i ułożyć z nich imię i nazwisko polskiej autorki dramatycznej i powieściopisarki.

Księgarz
Literatura
Przybyszewski
Rostand
Ely
Orzeszkowa
Urszulka
Warszawianka.

Zadanie przysłowiowe.

Ułożył C. Kozłowski, Warszawa.

Z każdego przysłowia wyjąć jedną zgłoskę i ułożyć z nich znane polskie przysłowie.

1) Gospodyni dobra trzy węgły w domu utrzymuje, a gospodarz czwarty.
2) Jeż, pokole też.
3) Przypomniała sobie babka, kiedy panną była.
4) Ni pies, ni wydra, coś nakształt świdra.
5) Wedle stawu grobla.
6) Na święty Szczepan, każdy sobie pan.
7) Za trzeciego Augusta panowała rozpusta.
8) Gdy dyabeł nie może, to babę posyła.
9) Dyabeł nie tak straszny, jak go malują.
10) Przybądź szczęście, rozum będzie.
11) Natura ciągnie wilka do lasu.
12) Darowanemu koniowi nie zaglądaj w zęby.
13) Uczepiła się baba żyda, że jej ksiądz drogę przejechał.

Łamigłówka.

Uzupełnić w ten sposób podane wyrazy, aby powstało imię i nazwisko zmarłego niedawno poety polskiego.

— ar
— kt
— e.
— an
— ra
— ór
— ok
— da
— is
— nu
— zy
— an
— en
— wo
— ra
— on
— li
— en

Okienko.

Ułożył J. Zugaj, Wilamowice.

Litery w ten sposób poprzestawiać, aby utworzyły trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a a a a a d
d e e
i i j
j j j k k m m
m m n
n n n
r r u u u z z

Zadanie do przestawienia.

Ułożył J. Zugaj, Wilamowice.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:
Płotek, czeka, lepiej, ręka, musi.

Zadanie konikowe.

Ułożył Cz. Kozłowski, Warszawa.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

ą	e	z	r	e	n
a	o	l	i	s	g
w	g	n	k	m	z
s	t	a	r	e	e
a	a	n	u	s	a
o	z	t	s	i	j

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **Król szpiegów.** Powieść z czasów konsulatu Napoleona przez E. Ch. A.

Właściciel, wydawca i redaktor odpowiedzialny: Stanisław Lipiński. Klisze z własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.